

Kronika

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Nr 8 Rok I ŁÓDŹ, 16—31 SIERPNIA 1955 Cena zł 1.20

JÓZEF HERTEL

Rawskie paradoksy

Wydziałowi Kultury WRN
REDAKCJA

LEKROĆ przechodziłem ul. Narutowicza, obok szosy warszawskiej, intrygowały mnie stojące tam drogowskazy. Dlaczego najpierw czytamy „Rawa Mazowiecka”, a potem „Warszawa”? Czyżby Rawa była ważniejsza niż Warszawa? Czym sobie zasłużyła na pierwszeństwo? Zagadnięty w tej sprawie sofer PKS tak mi dał odpowiedź: „Panie, to prastare, sławne miasto! Kiedy Warszawa stała się stolicą, wojewoda rawski, przejeżdżającemu przez Rawę wojewodzie warszawskiemu życzył, aby Warszawa była kiedyś tak wielka jak Rawa”.

Czy to prawda, czy żart? Zaintrygowany jeszcze bardziej, poszedłem szukać potwierdzenia tej anegdoty w wojewódzkim Wydziale Kultury. Poczułem się bardzo niewyraźnie widząc, że moje zaciekawienie Rawą wprawiło w dobry humor siedzących za biurkami urzędników.

„Z czego słynie Rawa, pytasz Pan, dlaczego jest na pierwszym drogowskazu? Dlatego, że jest w życiu pod każdym względem ostatnia”. Pytam dalej: „A jak sprawy kultury? Chcę napisać dla „Kroniki” o życiu kulturalnym jakiegosć ciekawszego powiatu niższego województwa”. „Do Kroniki Filmowej”? „Nie, jest takie pismo społeczno-kulturalne, już wyszło 5 numerów...”. „A tak, tak, prawda. Ale się pan wybrał! Rawa! Dobry dowcip! Przecież tam nie ma nic ciekawego! Kultura — leży! — chórem zaśmiał się Wydział Kultury. Zrozumiałem, że jestem śmieszny i czym prędzej wycofałem się. Czy to prawda, czy żart, co mówi się o Rawie? Kiedyś większa niż stolica — dziś na ostatnim miejscu w województwie łódzkim?

Spokój za spokój

Rawa ma rzeczywiście wcale świetne tradycje: od roku 1150 aż do 1775 była siedzibą województwa rawskiego. Ziemia rawska wydała w XVI w. wybitnych twórców literatury polskiej — Kacpra Miskowskiego, poetę porównywanego z Pindarem, Macieja Strykowski, najprzedniejszego po Długoszu kronikarza. Są w rawskim tradycje walk chłopskich przeciw caratowi i później — sanacji: tu wyrosła i działał przywódca dzisiejszego ruchu ludowego, tacy jak Władysław Kowalski, Antoni Korzycki i inni. Było tu więc życie kulturalne, był ruch umysłowy, no, i coż się z nimi stało? Zaażkiły? Czemu? Z braku komunikacji?

Prawda, Rawa i jej ziemia leżące w samym sercu Polski pozbawione są linii kolejowej. Fakt ten uniemożliwia podobno normalny rozwój życia kulturalnego. Tak przynajmniej wynika z opinii Wydziału Kultury. A przecież właśnie w Rawie zorganizowane zostały pierwsze i produkujące w województwie spółdzielnie produkcyjne, tu pow-

staje największa w Polsce fabryka żytelek, wznoszone jest nowe gimnazjum i nowe bloki mieszkaniowe, tu istnieje wiele zakładów pracy z wielkim POM-em na czele a na wsiach kwitnie bogata twórczość ludowa. Słowem, w dziedzinie życia gospodarczego nie ma w Rawie zastój mimo niedostatecznej komunikacji. Czemuż to więc w zakresie życia kulturalnego brak linii kolejowej powoduje, że Rawa „jest na ostatnim miejscu” i kultura tam „leży”? Przecież samo już cierpliwie czekanie na połączenie kolejowe jest dowodem kulturalnego zachowania się rawskiego społeczeństwa. I nie tylko to.

Rawskie ulice i domy są stosunkowo czystsze niż w innych miastach powiatowych: wielki park — pięknie utrzymany, odbudowuje się zamek książąt mazowieckich, w którym znajduje pomieszczenie muzeum ziemi rawsko-mazowieckiej. — Ludzie chodzą do kina, po prostu biegają do teatru, jak tylko jakiś zabłądzi raz na pół roku. Dlaczego wymyśla im się od ostatnich? Najlepszym świadectwem kulturalności rawian jest ich kino, wypełniające przeciętnie 120—150% planu. Rawianie słyszeli o wypadku spłonienia w rzeszowskim kina wraz z widzami, a jednak, z narażeniem życia, wciskają się na I piętro jedynymi wąskimi drzwiami nie wycierając przez ucho igieł. Nie narzekają na brak wentylacji, nie utyskują na ciągnącą się od lat budowę wejścia i hallu, która dosłownie kwitnie, jako że na murach wzrosła już zielen i kwiaty. To jest miłość kultury! Wcale nie mniej kochają rawianie muzykę i taniec. Podziwiałem ich na romantycznej zabawie, o północy, w parku miejskim. Zespół — jeden jedyny zresztą w całym mieście — trzech przygodnych muzyków, z których każdy wycinał co innego, orientując się na wybijającego takt blaszanymi warzawkami — grał „po złotowce od kawałka”, a jednak każdy płacił raz po raz i bawił się do upadłego.

To, że istnieje taki ogromny pęd do rozrywki i kultury w „dołach”, jest niewątpliwie zasługą mądrej i umiejętnej pracy organizacyjnej „góry”. Z pewnością śmiech, jaki usłyszałem w Wydz. Kultury WRN, zapytawszy o rawską kulturę, wyrażał jedynie skromność ludzi nie lubiących chwalić się własnymi osiągnięciami. A osiągnąć tych nie brak. Dużą obniżkę kosztów własnych osiągnięto — na przykład w Oddziale Kultury Pow. R.N. w Rawie: zamiast czterech pracowników z kierownikiem na czele, pracuje tu jedynie 19-letnia panienka z możliwie niskim uposażeniem. Zamiast dwóch pokoiów dla Oddziału Kultury — tylko jeden ale jakże umiejętnie wykorzystany. Mieści się w nim i Referat Zatrudnienia i przechowania rowerów, a ponadto tylko przez ten pokój dostać się mogą interesanci do Wydziału Handlu i Wydziału Gospodarki Mieszkaniowej. Rozumiecie jak bardzo kształcący wpływ na naród mają takie przelotne choćby zachłystnięcia się atmosferą Oddziału Kultury! Nie brak i innych osiągnięć świadczących o rozumnej organizacji:

z Oddziału Kultury odchodzi co trzy miesiące pracownik na stanowisko kierownika G.S. lub M.H.D.; świetna to metoda kształcenia kadr kulturalnych. A jakie poszanowanie własności społecznej! Po rozwiązaniu orkiestry O.S.P. 60 instrumentów czeka, według słów v-ce przewodniczącego PRN, na „kierownika oddziału kultury, który by się znał na muzyce i poprowadził zespół muzyczny”. Według koncepcji gospodarzy rawskiego powiatu, kierownik Oddziału Kultury — winien być jednocześnie instruktorem zespołów muzycznych. Czemuż to Wydz. Kultury WRN nie wyjaśni, że byłoby jeszcze oszczędniej, gdyby kierownika obarczyć także obowiązkami instruktora zespołów tanecznych, chóralnych i teatralnych.

Była okazja, aby o wszystkim co złe i dobre w kulturze ziemi rawskiej, o potrzebach i zaniedbaniach powiedzieć na I-szej od dziesięciu lat sesji WRN w sprawach kultury. Pomyślano widać w Rawie: Łódź — kulturalne miasto — daje nam spokój, okażmy się i my kulturalnymi — spokój za spokój. No i oczywiście, nikogo z Prezydium i Komitetu nie było na sesji i nikt o kulturze Rawy i powiatu nie pisał. Czy to nie jest jeden wielki paradoks?

W powiecie rawskim straszy

Nie do wiary. Ja też nie wierzyłem, dopóki się nie przekonałem.

Wiedziałem dotychczas, że tam gdzie powstają spółdzielnie produkcyjne strachy znikają, że spółdzielnią produkcyjną przychodzi jednocześnie światło elektryczne — wróg „kusego”. A jednak w rawskim powiecie tak nie jest. Proszę: Biała Rawska — dwie duże spółdzielnie produkcyjne i to produkujące, linia elektryczna tuż, tuż, elektryfikacja w programie Frontu Narodowego, a światła jak nie było, tak nie ma. To samo w Rzęczy i Inowłodzu, gdzie pracują ponadto główne rawskie ośrodki twórczości ludowej. Podobna historia z radiofonizacją powiatu. Nie inaczej z kinem. Wpada do Białej Rawskiej, Nowego Miasta, Rzęczy, Inowłodza kino objazdowe — dobrze, żeby raz na miesiąc i ucieka, bo... straszy. Mogłoby powstać w tych spragnionych rozrywki kulturalnej środowiskach — kino stałe. Mają mieszkańcy uruchomienie kina stałego w programie Frontu Narodowego. I nie daje rady — straszy! Jeszcze bardziej lekliwy okazał się Teatr Ziemi Łódzkiej. W ciągu przeszło dwuletniej działalności (900 przedstawień) TZŁ dał w rawskim aż 11 przedstawień. Cóż: teatr może nawet wolałby jeździć po swoim województwie, niż tuc się gdzieś po Dolnym Śląsku, Lubelszczyźnie — ale jak w rawskim straszy? Nie mówię już o wypadkach teatrów stałych, czy ciekawszych zespołów artystycznych w te strony. Dla tych Rawa nie istnieje. Co prawda — nie gardziła rawskim „Redutą” Osterwy. No, ale to była „Reduta”, a my „Reduty” nie mamy. Najbardziej jednak chyba obawiają się strachów — Wojewódzki ZSCH i Wydział

(Dokończenie na str. 5)

WITOLD WIRPSZA

W hotelu „Pod poetą”

Władysławowi Broniewskiemu

1.

W hotelu „Pod poetą”
(Jest w Polsce od wieków taki),
Za oknem — noc się płacze po krzewach.
W krzewach — ptaki.

2.

Noc krótka, letnia. Najłżejszy
Podmuch brzasku ją gasi.
Bucha jaskrawym płomieniem
Wrzask ptasi.

3.

Spisz jeszcze — lecz gospodarz
Już ciebie ma na oku,
Wylał drzwi od numeru,
Burzy twój senny spokój.

4.

Płomieniem ptasiego krzyku
Smaga po piersiach i twarzę.
On tobą gospodarzy,
On ogniem gospodarzy.

5.

Na próżno wlamywasz
Oddajesz diabłu lub katu.
On nie popuści.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków.

6.

A jeśli ci od żaru
Pęknie słabe serce?
Zwolni się w „Hotelu pod poetą”
Jedno miejsce...



JERZY WALEŃCZYK

Przedmieście wieczorem

Tą uliczką na nowe osiedle
Tamta do cegielni i mostu
Tą do dziadka na cmentarz
Tamta do białych wysokich akacji

Prowadź nas prowadź gwiazdo przedmieścia
Czerwone światełko łódzkiej radiostacji

Obrazie wymierzony zdartymi zelówkami
Błądzenie nocą wśród pól
Późne powroty krzyk ptaka w brunatnej mgie
Lasek gdzie się wieszali bezrobotni
Lata marzenia o poezji

Słyszysz to pociąg czy twój wiersz nadciąga
Ociera się o noc krzesze milczenie nad domkami
A widząc że to wieczór na łódzkim przedmieściu
Wsuwa się w głąb czasu
I rozwieja



Rozważania nie bardzo optymistyczne

I NTERPRETACJA „Ballady” J. Słowackiego w wykonaniu zespołu amatorskiego ZPB im. J. Stalina w Łodzi w mojej reżyserii i inscenizacji została oceniona jako „jeden bolesny zgrzyt” eliminacji centralnych (Trybuna Ludu nr 151 z dn. 3.VI. br. wydanie H), a sięgnięcie przez zespół robotniczy po repertuar klasyczny, który do niego pasuje jak „ojcowe palto na małego Józia” (Przegląd Kulturalny z dn. 9—15 czerwca nr 23, Bolesław Bartoszewicz — „Uwagi optymisty”), jako gigantomania. Dwie te oceny świadczą o tendencjach do wydawania pochopnych sądów i cenzurę zespołowi amatorskiemu na podstawie jednego spektaklu, a co smutniejsze — przyczynić się mogą do dalszego wypaczania pojęcia o zadaniach i kierunku ruchu amatorskiego.

Zespół mój komentował gorąco obydwie wypowiedzi w prasie, kilku członków zespołu załamało się przyjmując mylnie sądy recenzenta jako stanowisko Redakcji wysoko o nas cenionych czasopiśmie.

Wydało mi się, że recenzent nie powinien nigdy uogólniać sądów bez znajomości istoty zagadnienia, nie powinien tracić z oczu odbiorcy, do którego dociera krytyka, powinien kontrolować swój sposób wypowiadania się, aby jego krytyka była w skutkach budująca, zachęcająca do pracy, a nie niszcząca, ludźmi wrażliwych, ofiarnych i zapalonych do pracy kulturalnej, jakimi są uczestnicy robotniczych zespołów amatorskich.

Zespół nasz składa się wyłącznie z pracowników ZPB im. J. Stalina, względnie, w znikomym ilości, z członków ich rodzin. Większość stanowią pracownicy fizyczni lub awansowani z fizycznych. Kilka osób ma wykształcenie średnie, większość podstawowe i niepełne podstawowe. Liczebność waha się w granicach od 30 do 60 osób; 10 osób to stały trzon, który w ciągu trzech lat stał się zwartym kolektywem. Reszta to element płynny. Kolektyw pomaga mi pracować z nowicjuszami, potrafi określić temat sztuki, szukać myśli przewodniej, prowadzić dyskusję, budować sytuację prostą, a nawet polemizować z reżyserem na temat ustawienia niektórych scen.

Wystawiłam z zespołem w ciągu trzech lat „Zwycięstwo” Warmińskiego, „Lubow Jarowaja” Treniewa, „Zemstę” Fredry i „Balladę” Słowackiego — wszystkie sztuki nagrodzone w eliminacjach. Poza tym organizujemy stale brygady artystyczne z programem produkcyjnym, zasilamy w recytatorów ekipy łączności miasta ze wsią i część artystyczną akademii okolicznościowych.

Nasze zadanie to praca kulturalna wśród załogi i dla załogi.

Załoga zakładów składa się w ogromnej większości z pracowników fizycznych, z ludzi o wykształceniu podstawowym. Pragniemy przez odpowiedni dobór repertuaru i odpowiednią interpretację tekstu zbliżyć do członków załogi wartościowe dzieła literackie, aby poznawali i przyswajali sobie ich treść, ich problematykę, piękny język ojczysty (niechlujstwo języka jest chyba najsmutniejszą spuścizną starych czasów nie tylko wśród robotników), aby uczyli się patrzeć krytycznie na sztukę teatralną, aby przez wzruszenie artystyczne rozbudzić się ich myśli, aby myśli stały się bodźcami do działań w życiu codziennym, aby te działania łączyły z procesem pracy produkcyjnej kształtowały nowego socjalistycznego człowieka.

Dla zrealizowania takiego założenia członkowie naszego zespołu teatralnego muszą być nie tylko aktorami, ale i agitatorem sztuki przy swoich warsztatach, muszą umieć mówić, kierować tokiem refleksji widza, kiedy ten pragnie ogarnąć umysłem to co już ogarnął uczuciem i nawiązuje z aktorem-towarzystwem pracy dyskusję na temat granej sztuki.

Przygotowanie członka zespołu do roli agitatora jest trudniejsze niż przygotowanie go do roli w sztuce. Wielu członków załogi jest nastawionych jeszcze negatywnie do pracy zespołów artystycznych ZDK, udział w życiu kulturalnym ZDK jest dla nich ekstrawagancją lub luksusem, trzeba ich z trudem zdobywać dla nas i dla sztuki teatralnej. W pracy nad tekstem musimy zatem znaleźć dla każdego członka zespołu taką drogę, aby sam aktywnie uczestniczył w sztuce, aby chciał ją zrozumieć, a nie tylko grać, aby prawda znalazła w utworze literackim stała się prawdą własną każdego z grających. Taka praca jest żmudna, daje wyniki czasem dopiero po dwóch, a nawet trzech latach. Jednak członek zespołu, który poznał radość myślenia i wyrażania drugim swoim myśli, staje się

wartościowym pracownikiem kulturalnym i oddanym aktywistą.

Zespół amatorski nie powinien częściej niż dwa razy w tygodniu zbierać się na próby, ponieważ częste dyskusje zbyt koncentrują uwagę amatora na zagadnieniach sztuki, odrywają go od innych zagadnień życiowych, koło których nie wolno mu przechodzić obojętnie, przesuwają punkt ciężkości jego zainteresowań na jego przygotowania i produkcje artystyczne. Amator nie powinien występować na scenie częściej niż dwa, trzy razy w miesiącu, ponieważ występy wyczerpują fizycznie i zdolność amatora do pracy na odcinku zawodowym przy zbyt częstych występach wybitnie się zmniejsza. Członkowie mojego zespołu sygnalizowali mi o tym niejednokrotnie.

Ważnym również momentem w pracy zespołu amatorskiego jest przeciętna zarobku członków. Włóknarz np. naszych zakładów skorzysta z pierwszej okazji ubocznego zarobku i przerwie pracę w zespole, aby do niego po pewnym czasie znowu powrócić. Takiego odejścia dla celów zarobkowych u ludzi obciążonych rodzinami nie traktujemy w zespole jako braku dyscypliny w pracy społecznej.

W ukształtowaniu postawy ideowej zespołu pomogły mi przede wszystkim dwie pierwsze sztuki („Zwycięstwo” i „Lubow Jarowaja”); dzięki sztukom klasycznym wzrosła niebawem kultura języka, rozwinęło się poczucie piękna

i artystycznego umiaru. „Balladę” uważam za najwyższe kolektywne osiągnięcie zespołu, który z zapartym oddechem pracował nad przygotowaniem tej niezwykle trudnej sztuki.

Już po pierwszym czytaniu przyjął zespół sztukę z zachwytem. Wśród 40-stu słuchających, trzy osoby znały niektóre wiersze Słowackiego, jedna znała „Balladę”. Pierwsze wrażenia zamknęły się w określeniach: sztuka jest wspaniała, straszna, prawdziwa, bajkowa itp. Po czytaniu próbowaliśmy odtwarzać treść — było to jak zwykłe rzucanie luznych faktów. Zaczęliśmy potem te fakty szeregować i oceniać. W szeregowaniu i ocenie faktów przedstawia się najwyraźniej postawa ideowa zespołu i ten etap pracy uważam za najbardziej interesujący. W zetknięciu z repertuarem klasycznym wystąpiły przy obu sztukach ciekawe odchylenia od ogólnie przyjętego sposobu patrzenia na „Zemstę” czy „Balladę”, ujawniły się dla mnie nowe wartości tych wielkich dzieł artystycznych. O ile w dalszych etapach pracy nad „Zemstą” opracowanie Kazimierza Wyki pomogło nam do ustalenia idei spektaklu, o tyle przy „Balladzie” powstała duża rozbieżność z dotychczas istniejącymi opracowaniami krytycznymi, ponieważ zespół nie potępił bohaterki za dążenie do polepszenia sobie bytu i do władzy, a jej zbrodni nie uważa za walkę odwiecznego zła z dobrem, ale za społecznie uwarunkowane postępowanie niedzarki w konkretnych okolicznościach i warunkach. To spojrzenie zespołu pomogło mi do potraktowania „Ballady” jako tragedii, która jest, moim zdaniem, artystyczną transpozycją rzeczywistości politycznej w jakiej żył Słowacki, która jest obok „Kordiana”, „Anhellego” i „Lambra” próbą włączenia się w wielki rozrachunek ideowo polityczny po powstaniu. Specyfika warunków technicznych sceny świetlicowej łączy się bardzo ściśle z zagadnieniami finansowania zespołów amatorskich. Eliminacje szczecińskie wykazały nam, jak bardzo nierównomierne są możliwości scen amatorskich pod tym względami. Milczy się o tym wstydliwie, a przecież to bardzo ważne. Na podstawie dwóch czy trzech świetnie finansowanych zespołów amatorskich tworzy się mit o zaprzepaszczaniu wielkich funduszy na dekoracje i kostiumy dla amatorów. Tymczasem prawie

wszystkie zespoły amatorskie walczą z wielkimi trudnościami finansowymi.

Koszt ogólny naszej „Ballady” sięga 30 tys. Ponieważ nie możemy planować takiej eksploatacji sztuki, która by nam zapewniła zwrot kosztów realnych, staraliśmy się koszt każdej sztuki możliwie ograniczać. O szcziu kostiumów nie mogło być mowy. Nasze kostiumy do „Ballady” pochodzą z czterech różnych kostiumerów teatrów łódzkich, w zespole zostały generalnie wyczerpane, wyciszczono i wyprasowane. Stroja techniczna spektaklu została drobniawo opracowana z dostosowaniem do wymiarów i wyposażenia naszej sceny. Efekty świetlne, akustyczne, synchronizacja przerwy z motywami muzycznymi dały w wyniku spektakl czysty i płynny, aktor podciągany w dyscyplinie środkami zewnętrznymi, które tworzyły nastrój, czuły się zmuszony do jak największego wysiłku artystycznego. Tymczasem w Szczecinie cały z piętyzmem budowany nastrój prysnął z powodu odmiennych warunków technicznych. Na zrobienie próby technicznej, która na miejscu trwała dwa dni, mieliśmy w nowych warunkach tylko trzy godziny. Nie można było marzyć o skomponowaniu elementów spektaklu na odpowiednim poziomie. Sceny zblonowe, zgubione nagły w wielkiej przestrzeni sceny szczecińskiego teatru, nasuwały myśl o niedowładzie artystycznym reżysera. Odmienność warunków wpłynęła na wykonawców deprymując. Do tego 6 osób dostało chrypkę, a nieprzewidziane trudności organizacyjne spowodowały, że scenę oddano nam o godz. 20, a skończyliśmy grać o godz. 24. Obiad był o 14-ej, kolacja po spektaklu. Przy braku treningu w tym kierunku rzecz nie wymaga komentarzy.

Z obniżonego poziomu spektaklu na eliminacjach centralnych zespół zdał sobie w pełni sprawę zaraz po występie, starałam się jednak poprawić samopoczucie zespołu wyjaśnieniem, że im bardziej precyzyjnie zbudowana jest sztuka, tym trudniej pokazać ją w odmiennych warunkach; nie przypuszczałam jednak, że bez dyskusji z reżyserem i zespołem mogą się pojawić w prasie wypowiedzi dyskredytujące wysiłek zespołu robotniczego włożony w przygotowanie, w przyswojenie sobie jednego z najpiękniejszych dramatów romantycznych.

(Dokończenie na str. 3)

LECH BUDRECKI

Laury dobrze rozdane

O d kilku dni słyszę raz po raz: — Ależ zmieniło się! Ależ zmieniło się! Mówią to różni ludzie. Kręga głowami, czasem cmokając z podziwu. Robią to z okazji tegorocznych nagród. Drażni mnie to. Zaczynam sprawdzać, kontrolować. Chcę przyłapać ich na grzechu przesady. Pytam sam siebie: Co się zmieniło? Gdzie się zmieniło? Zastanawiam się przez chwilę i wreszcie kapituluję. No, bo rzeczywiście „zmieniło się”. Dyskusje nad sztuką, to urywane, to rozpoczynające się na nowo, nie minęły bez echa. Ich podsumowaniem stała się przemiana kryteriów w przyznawaniu nagród. Z pozoru są one takie same. Zasadniczym, naczelnym miernikiem był i jest realizm. Ale rozumienie realizmu stało się inne. Szersze i zarazem — jakby to powiedzieć — „ostrzejsze”, bardziej precyzyjne.

W tym więc roku, przyznając nagrodę, przesunęliśmy linię demarkacyjną realizmu. Akcent padł na pojemność. Realizm mieści przecież w sobie wiele poetyk, a nie jakąś jedną jedyną — gwarantowany środek ocena przed piekłem naturalizmu i formalizmu. Normatywne przepisy poszły w ką. A wraz z nimi i inne nierozłączne warunki, wywiedzione z prostackiej interpretacji typowości. Słowem, zmieniły się zasady poprawnego odczytywania prawd komunikowanych przez dzieło. Pejzaż rządzonej dywizjonizmem świetlnym nie staje się tym samym artystycznym odpowiednikiem berkeleyowskiej teorii poznania, a poemat o moralnych doświadczeniach wojny nie oznacza „pesymizmu”, rozpacz i przeżycia. Rozszerzyły się więc granice realizmu. Znalazły się w nich postimpresjonistyczne sposoby malarskie J. Cybisa, E. Eibischa, K. Fedkowicza, H. Cybisowej-Rudzikiej, muzyka W. Lutosławskiego, aktorstwo J. Woszczerowicza czy Eichlerówny, wiersze T. Różewicza, proza A. Rudnickiego, scenografia A. Pronaszkii i T. Kantora.

Nie jeden spośród tegorocznych laureatów nie tak dawno jeszcze był pod ostrzałem krytyki. Ostrzałem? Powinno być powiedzieć — kanonadą. Przetłumaczyli ją Cybis i Rudzka-Cybisowa, Rudnicki i Różewicz. Pamiętam dobrze zgorznienie, jakie budziła kapiści, i krążące ongiś szeroko słowa pewnego poety, który autora „Równiny” nazywał nihilistą, jako że nie używa on rymów. Wielu podejrzanie przypatrywało się wówczas Woszczerowiczowi, kręciło nosem nad Eichlerówną. Szepotali: — to nie jest realizm. Widzę już zdumienie w oczach czytelników. A tymczasem rzecz — jeśli dobrze się zastanowić — ucale nie jest dziwna. Zmiana kryteriów realizmu to sprawa bądź co bądź nie tak dawna, poprzedziła ją uparta wymiana argumentów. Przed dwoma laty jeszcze wąskie, wielce nieprecy-

zyjne, a i szkodliwe pojmowanie zadań naszej literatury, liczący sporo stronników, to do stronników energicznych, jakie zapobiegliwych. Cóż mówić o latach wcześniejszych? Czyż więc dziwić się można dawnym ofensywom przeciw dzisiejszym laureatom?

Znakomita większość tegorocznych nagród jest bezsporna. Nie podlega dyskusji. Z rzadka tylko postyszyć można głos: — dlaczego? Zresztą głos ten najczęściej domaga się zastąpienia nagrody drugiej — pierwszą, wyróżnienia — drugą, a czasem wzbogacenia listy o jedno czy też kilka nazwisk. Nikt nie kwestionuje Iwaszkiewicza czy Z. Pronaszkii, Lutosławskiego czy Różewicza, Dąbrowskiej czy Dulęby. Nagrody przyznano bowiem tym ludziom sztuki, o których zgodny sąd większości odbiorców powiada: — Ci właśnie powinni zostać laureatami, ci właśnie umieją pisać, malować, komponować, właśnie tych aktorstwo cenimy, właśnie tych

inscenizacje wydają się nam niezaprzeczalnym sukcesem.

Lista bezspornych nazwisk — a taką właśnie otrzymaliśmy z okazji tegorocznych nagród — nie wyklucza jednak pytania: dlaczego? Nie ma w nim zatajonych powątpiewań w słuszność wyboru. Jest natomiast coś jakby powątpiewanie w jego zupełność. Czytam raz listę nagród, czytam ją po raz drugi... A jednak w plejadzie świetnych nazwisk wciąż wyczuję lukę. Brak mi i J. Przybosi, i J. Szaniawskiego (za całokształt twórczości) i wreszcie pośród wyróżnionych L. Buczkowskiego (rzecz prosta, za „Czarny potok”). Ale na dobrą sprawę, któremu z jury nie można by postawić podobnych zarzutów? Ze pominięto, że opuściło, że szkoda. Na pewno szkoda. Któreż jednak spośród naszych jury mimionymi lat wylegitymować się potrafi równie trafną linią generalną i, co za tym idzie, równą ilością słusznych nagród?

Łódzcy laureaci nagród państwowych

Prof. dr WŁADYSŁAW BRATKOWSKI — nagroda II stopnia za całokształt działalności naukowej w dziedzinie włókiennictwa,

KAZIMIERZ DEJMEK, reżyser — nagroda II stopnia za działalność artystyczną w Państwowym Teatrze Nowym w Łodzi,

Prof. dr EUFEMIUSZ HERMAN — nagroda III stopnia za prace naukowe w zakresie diagnostyki chorób nerwowych,

Prof. inż. EUGENIUSZ JEZERSKI — nagroda II stopnia za prace naukowe w dziedzinie teorii transformatorów elektromagnetycznych,

Prof. dr WŁODZIMIERZ NIEMIERKO — nagroda II stopnia za prace w dziedzinie biochemii owadów, wykonane w minionym 10-leciu,

STANISŁAW PIĘTAK, literat — wyróżnienie, za tom poezji „Przymierze z nowymi laty”,

ANDRZEJ STRUMIŁŁO, plastyk — wyróżnienie, za obrazy „Tej brome nie zwyciężył nikt” i „Nasza ziemia”,

Prof. dr MIECZYSLAW WIERZUCHOWSKI — nagroda II stopnia za prace naukowe nad karmieniem dożylnym.

Ordery

„SZTANDAR PRACY” II kl. otrzymali:

Zespół Taneczny ZPB im. Harnama i Zespół Pieśni i Tańca Z. M. im. Strzelczyka.

KRZYŻEM OFICERSKIM ORDERU ODRODZENIA POLSKI odznaczeni zostali:

JADWIGA CHOJNACKA, dyr. P. T. Powszechnego oraz KAZIMIERZ DEJMEK, dyr. P. T. Nowego.

KRZYŻEM KAWALERSKIM ORDERU ODRODZENIA POLSKI odznaczeni zostali:

JAN AUGUSTYNIAK, dyr. Woj. Biblioteki Publicznej, KAZIMIERZ BŁESZYŃSKI, literat, SEWERYN BUTRYM, aktor Państw. Teatru Nowego, STANISŁAW CZERNIK, literat, WANDA JAKUBINSKA, aktorka Państw. Teatru Nowego, STANISŁAW ŁAPIŃSKI, aktor Państw. Teatru im. Jaracza, ZOFIA PETERSOWA, literatka, Kier. Art. Polskiego Radia, MARIAN PIECHAŁ, literat.

Proszę o głos!

Sierpniowa niedziela

P ELNIEM w swoim czasie obowiązki referenta socjalnego w pewnym zakładzie pracy i — między innymi — powinienem był organizować wycieczki niedzielne moich kolegów i towarzyszy pracy. Nie wiem, czemu to właśnie „wczasy świąteczne” przysparzały mi tyle kłopotów, czemu tak trudno było namówić kilkanaście osób na wspólną niedzielną wycieczkę za miasto zlokalizowanym samochodem ciężarowym. Faktem jest, że fundusze na „wczasy świąteczne” pozostawały najczęściej niewykorzystane,

Ileż dostrzegę ciężarówkę, która w pogodny ranek świąteczny wiezie za miasto gromadę roześmianych kobiet i mężczyzn, przypominam sobie te kłopoty sprzed lat kilku. O tym, że należało już one do przeszłości świadczą całe karawany samochodów sunących przez wylotowe ulice miast w letnie niedziele i święta. Do niedawna nawet z odrobiną żądzości wyobrażałem sobie napełnione liczbami sprawozdania z „wczasów świątecznych” sporządzane przez odpowiednich referentów, do niedawna z szczerą radością patrzyłem na wesolych, opalonych wycieczkowiczów wyjeżdżających z rozprężonego miasta do lasów, nad rzeki — w słońce i wiatr. Ich widok upewniał mnie o tym, że rośnie i pogłębia się w naszym kraju kultura wypoczynku, że uczymy się coraz przyjemniej i pożyteczniej spędzać wolne od pracy dni.

Przypadek zdarzył, że kilkanaście dni temu znalazłem się w miejscowości chętnie odwiedzanej przez wycieczki. Opodal rzeki, pod drzewem, stało kilka ciężarówek przybyłych — jak o tym świadczą napisy na drzwiach kabin szoferkich — z kilku łódzkich i podłódzkich zakładów pracy. Na trawie w cieniu wybijających bór porożki dały się gromadki wycieczkowiczów zajętych zbożnym trudem opróżniania butelek z wodką. Tu paru bełkocących już mężczyzn agresywnie zmuszało do picia wymawiającego się towarzysza, tam jakaś żona czyniła jęzotliwe wymówki mężowi, który podtykał szklankę pod nos kilkuletniemu synkowi. Połajanki i soczyste słowa krzyżowały się w powietrzu bezustannie. Wokół stanowisk poszczególnych grup trawa zasłana była papierami, między którymi potykaliwymi w słońcu wyrzucone, puste butelki. Parę osób poci oboga rozwalonych na tym śmietniku spało w pełnej słonecznej śpiotce. Jakiś litościwy towarzysz chodząc chwiejnym krokiem od jednej do drugiej i nakręcał im głowy gazetą.

Na świeżo skoszonej łące grupa młodych kobiet i mężczyzn organizowała jakieś gry sportowe. Przeszkadzały im kopki siana — w jednej więc chwili urozumieli trud chłopów poszedł na marne, siano rozrzucone i zdeptane. Zaraz potem cała gromada „sportowców” ruszyła nad rzekę, nad którą podniósł się nieopisany wrzask i tumult. Stojący na brzegu tłum gestykulował i krzyczał obserwując trzepocących się bezzadnie na głębokiej bystrzynie dwóch ludzi — mężczyznę i małego chłopca. Znalazło się paru śmiałości, tonących wyratowano. Nad nieprzystojnym mężczyzną zebrała się zbита ciżba, jakiś tegi brunet histerycznym wrzaskiem sprzeciwiał się zastosowaniu sztucznego oddychania, żądał, aby ofiarę włożono w koc i energicznie huśtało. Tak też zrobiono, normalnym sposobem ratunku nikt nie dał wiarę. Szczęściem niedoszły topielec ocknął się sam i na uginających się nogach włożył się ku kopie, a za nim uciął w niebogłosy wydzierający się chłopak. Nagle, jakby spod ziemi, wyrosła obok nich żądną kobietą. Zagadała wrzaskliwie do oszołomionego uciąż mężczyzny i z impetem wymierzyła mu dwa policzki. W gromadzie obserwatorów buchnął homerycki śmiech. „To się nazywa żona” — krzyczano z uznaniem. Stojący przy mnie szczupły chłopak wyjaśnił: „Schlał się, panie, i poszedł z chłopakiem” pływac. Byłby utopił dziecko, taki syn”. W głosie mego informatora brzmiało oburzenie, w oddechu czuć było wodkę.

Przez cały dzień panował nad rzeką harmider i rozgardiasz. Przed wieczorem zagruchotały motory samochodów i potem zrobiło się cicho. Na łące zjawili się chłop. Popatrzył na zdeptane i rozrzucone siano i westchnął serdecznie. Popatrzył na zarzucony papierami i butelkami las, na odarte z gałęzi olehy i łoży i pokłukał głową. Poszedł do niewielkiego łanu żyta do połowy zjeżdżonego kotami ciężarówek i stał tam długo. Co myślał? Zgadnąć nie trudno.

Tak. Do niedawna ze szczerą radością patrzyłem na wesolych, opalonych wycieczkowiczów — wyjeżdżających z rozprężonego miasta. Do niedawna cieszyłem się wzrostem kultury wypoczynku w naszym kraju. Teraz, po opisanych tu obserwacjach, widzę, że za wcześnie jeszcze na niczym niezmaconą radość. Tym wszystkim, którzy organizują i prowadzą akcję „wczasów niedzielnych”, poświęcam niniejszy felieton. Niechże pomyślą oni nad tym, co zrobić należy, by słowa o przodującej roli klasy robotniczej nie były dyskredytowane przez fakty podobne wyżej opisanym. Niech uświadomią sobie, że najlepszą pracę ekipy łączności miasta ze wsią obrócić może wniwecz nieorganizowana, barbarzyńska wycieczka niedzielna.

KRONIKARZ

ZACZEŁO się od „fuchy”, jak mówią robotnicy budowlani. „Fucha” w gwarze cieśli, murarzy, malarzy i dekarzy oznacza pokątną robotę poza godzinami pracy, u lokatora domu, w którym Miejskie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane przeprowadza remont.

Propozycja „fuchy” wychodzi poważnie od lokatorów i to zwykle wtedy, gdy już pomiędzy członkami załogi remontowo-budowlanej a mieszkańcami domu zadzierzną się węzły bliższej znajomości. Ot, chociażby taki obraz...

Malarz stoi na desce „rusztowania” w otwartym oknie waszego gabinetu, gdzie siedzicie za biurkiem przy pracy. Podnosicie głowę. Robotnik w krymce opryskanej łęczową kropelkami różnokolorowych farb zagląda wam do mieszkania i śmieje się całą gębą z powodu zaskoczenia, jakie wyczytać można na waszym obliczu. Świetna okazja do rozmówki i wynurzeń na tematy ogólne i zawodowe! Jaka zachęcająca atmosfera niezwykłości, a zarazem intymności, sprzyjająca poufalej pogawędce o wszystkim i o niczym! On wisi na rusztowaniu, wy wstajecie od biurka i dalejce uragać na biurokrację, i na ten cholerny remont, który tak się przeciąga, i na kolor na ścianach, nie taki, jaki wy lubicie, a i że szablony pod sufitem też by mógł być inny!

W wyniku tego rodzaju rozmowy stoją na desce rusztowaniowej olejny i klejowy malarz Leon chętnie przyjmuje waszą propozycję przemalowania ścian i ułożenia szablony pod sufitem za umówioną cenę dwustu złotych, a conto których otrzymał zadatek w kwocie złotych stu.

Co dalej?...Dochodzi czwarta. Leon ze sztułtówką w garści udał się do pakamery, gdzie koledzy myli się i przebiegali po pracy. Nie jest się przecież, do licha, „salatą” i nie pije się do łustra! Leon więc wtajemniczył w szczegóły zawartej tranzakcji kolegę murarza, przewodnika pracy, zwanego „Siwkiem”. Białe jak wapno brwi, białe rzęsy, czerwona twarz i złotawe włosy — z tego wszystkiego poszło przewiśko Siwek.

Murarz z początku ociągał się. Przyrzekł dyrektorowi MPRB, że nie będzie więcej pił. I właśnie zbierał się do domu. Dreluchy robotce zmienił na nowy garnitur z sześćdziesiątki, ale bardzo dobrze uszyty i skrojony.

Tymczasem Leon pobiegł już do knajpy w tym samym domu, a wracając z dwiema półlitrowkami spostrzegł jeszcze jednego kompana.

Na pochyłym dachu trzypiętrowej oficyny dekarz Władek Przewoźniak, szcziotką na długim trzonku smarował papę lepikiem.

— Władek! huknął na niego Leon i umownym gestem dał znak, że jest okazja do popijawy.

Z okna pakamery, gdzie odbywała się libacja, widać było długie, mroczne podwórce. Na środku wznosiła się przyma złotego piasku i żwiru obok arfy i skrzyni z wapnem. Wymachujący łopatą robotnik przesyppał przez arfę piasek do zaprawy. Opodał stało parę kubłów z farbami. Ot, wszystko jak w podwórzu kamienicy w czasie remontu!

Awantura wybuchła po wypiciu drugiej półlitrowki. Poszło o to, że Siwek poddał krytykę kiepskie wykonanie malarskie okien, a w szczególności — szprosów, poprzączek między ramami. Był na tej budowie od niedawna i utrzymywał, że tam, gdzie pracowali poprzednio, w wojskowości, wykonywali tę robotę lepiej i staranniej.

Rozważania

(Dokończenie ze str. 2)

Zadania stojące przed ruchem amatorskim nie zostały zbyt jasno sformułowane na XII Sesji Rady Kultury i Sztuki i dlatego inaczej rozumie je reżyser zespołu amatorskiego, a inaczej ludzie powołani do oceny wyników pracy zespołów amatorskich na szczeblu centralnym. Kierunków pracy w ruchu amatorskim jest prawie tyle, ile mamy myślicyńscy uciwiele i aktywnych artystycznie reżyserów zespołów amatorskich. Piętnuje się „zawodowość” ruchu amatorskiego, zresztą bardzo słusznie, a z drugiej strony ocenia się bardzo wysoko wynik pracy takich zespołów, które właśnie przechodzą na zawodowość i stawia się je automatycznie za wzór całej masie zespołów, za wzór nieosiągalny przede wszystkim z przyczyn od zespołu niezależnych.

Te sprawy trzeba rozstrzygać tym bardziej, że w Łodzi przy PWSA im. Schillera istnieje Wydział Instruktorów-Reżyserów i wykładowca w sposób sprzeczny musi o nich mówić studentom. Konieczny jest zjazd, czy narada w mniejszym gronie, ludzi związanych od szeregu lat z ruchem amatorskim zawodowo, ludzi którzy znają specyfikę ruchu amatorskiego z pracy a nie z opowiadań czy z mniej lub więcej udanych spektakli, ludzi, którzy w sposób poważny i z pełnym poczuciem odpowiedzialności spróbują, na podstawie dotychczasowych wyników w pracy na odcinkach im powierzonych, ocenić, co jest złe, a co dobre w tym ruchu, jaka jest najszlachetniejsza i najzdrowsza droga ku temu, aby przez ruch amatorski podnosiła się istotnie kultura w masach, podnosiła się kultura słowa, umiłowanie piękna, aby radość z pracy twórczej promieniowała z domów kultury na warsztaty pracy.

REGINA ELKAN

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

DOM NA BAŁUTACH

Ambitny i zarozumiały Leon nie mógł ścierpieć podobnego zarzutu. Zawsze starał się wykonać swoją robotę tak, żeby się nie wstydzić. W podnieceniu alkoholowym rzucił się na Siwka ze szpachlą. Władek Przewoźniak chciał rozbroić walczących.

Po chwili trzech podchmielonych mężczyzn, tamując się wypadło z pakamery na podwórze i wyważyło się na stojące tam kubły z farbami.

Nowy garnitur Siwka zamienił się w szmatę pokrytą grubymi plamami farby olejnej. Leona i Władka odwieziono do szpitala.

Dom na Bałutach

Nazajutrz Siwek został zawieszony w pracy i wezwany do dyrekcji MPRB. Przyszedł z podbitym okiem, w czerwonej koszuli w kratkę i w starym cerowanym na łokciach i kolanach garniturze, w którym przyjechał w 1948 roku ze wsi do Łodzi w poszukiwaniu pracy. Dużo wody upłynęło, zanim utrafił w to, co mu najlepiej wychodziło spod ręki. Był pomocnikiem zduna, był cieślą. Wreszcie dyrektor, stary komunistą, „równy chłop”, orzekł „Ty, Siwek, będziesz robił lepiej kielnię niż siekierą!”

I pokazało się, że Dyrektor miał rację! Siwek zaczął się uczyć murarstwa. Przeciętna norma wynosiła dla murarza 3 metry sześciennego muru dziennie, co równało się około 1153 cegłom. A Si-

Opowiadając tak, chcieli przez to powiedzieć, że Dyrektor był starym komunistą i rozumiał i wcielał w życie linię Partii, która zawsze zwraca się do ludzi z perswazją i nie rezygnuje z żadnego człowieka.

Na to właśnie liczył Siwek. Myślał, że uda mu się jeszcze tym razem prześlizgnąć się jakoś przez tę furtkę wielkodusznej pobłażliwości Partii dla wad i błędów człowieka, skoro tylko przyrzeknie, iż nigdy więcej kielicha do ust nie podniesie.

Tymczasem już od progu zaskoczył go nieprzyjemnie ponury wyraz twarzy Dyrektora i Kierownika. To prawda, mieli zmartwień co niemiara z powodu tego obsuwającego się jak przy trzęsieniu ziemi domu na Bałutach, ale pomimo to, uważał, że jakoś za bardzo patrzyli na niego wilkiem.

— Ładnie się sprawujesz, Siwek, nie ma co! Przewoźnik, psiakrew, a wódek żłopie jak nie człowiek! — zaczął bez wstępu Dyrektor. — Chciałem ci dać robotę przy minowaniu fundamentów w tym obsuwającym się domu na Bałutach, ale bo to ja mogę stawiać pijaka do takiej odpowiedzialnej roboty? Powiedz sam, czy mogę?

Siwek zamrugnął białymi powiekami. Zrenicie zaczęły mu latać, jak zwykle, gdy był podenerwowany. Parę myśli naraz przebiegło mu przez głowę. Dom na Bałutach to była robota remontowa, lepiej płatna, niż nowa budowa. Cennik dla katalogów remontu był wyż-



Rys. J. Cichecki

szy niż dla nowych budów. Po drugie, minowanie stanowiło okazję do podniesienia kwalifikacji zawodowych. Siwek zawsze dbał o to, żeby pracując podwyższać zarazem swe kwalifikacje, nauczyć się odczytywania rysunku technicznego.

— Panie dyrektorze! — wybuchnął. — Nie będę więcej! Siwo! — grzmotnął się w pierś. — Towarzysz dyrektor wie, jak to jest... Gdy odmawiam kolegom kielicha, to mnie mają za wroga albo donosić!

Zaczął opowiadać, jak to było z „fuchą”.

— Ale Dyrektor i Kierownik nie bardzo go słuchali. Wiedzieli już skądinąd, jak tam było.

— Dobra! — postanowił Dyrektor. — Stಾನiesz jutro do pracy na Bałutach. Tylko, Siwek, pamiętaj!

Wtedy też odezwał się milczący dotąd Kierownik. — Siwek, ty wiesz, że ze mną nie ma żartów! — rzekł pośpie. — Ja za wodę pędzę precz z budowy, bez apelacji!

Siwek zamrugnął białymi rzęsami.

Nowa „fucha”

Siwek, jak wszyscy pijacy, był człowiekiem lekkomyślnym i przedko zapomniał o swym uroczystym przyrzeczeniu. Tym bardziej, że robota przy remoncie domu na Bałutach była pierwszorzędna i każdy wpadał w jej rytm zapominając o wszystkim innym.

Ponieważ mury obsuwały się w dalszym ciągu, trzeba było postawić drugą kolumnę stempli i przystąpić do ankrowania, czyli przeprowadzić 25 żelaznych drągów na przestrzał przez kamienicę spinając ją żelaznym gorsetem i ściągając umieszczonymi na zewnątrz murów tarczami.

Następnie przystąpiono do pogłębiania płyty, 80-centymetrowych wykopów o jeden metr niżej i minowania czyli podmurowywania fundamentów. Tym sposobem ratowano dach nad głową 30 rodzin.

Robota była pasjonująca, „leciała jak cholera”. Siwek wiedział i widział, po co i dla kogo pracuje, załoga budowlarzy na każdym kroku spotykała się z wyrazami uznania i wdzięczności ze strony mieszkańców uratowanego domu.

Miedzy lokatorami a robotnikami zadzierzgały się węzły znajomości. I oto zdun, zwany Misiem, otrzymał propozycję „fuchy”. Jeden z lokatorów chciał mieć ściankę z białych kafli nad kuchnią, co nie było przewidziane w ogólnym kosztorysie robót MPRB, umówił się więc z Misiem „na prywatę” i dał zadatek...

Libacja odbywała się w pakamerze, w godzinę po zejściu z budowy Kierownika. Nikt nie przypuszczał, aby Kierownik, który prowadził roboty jeszcze na innych stanowiskach budowlanych, mógł tego samego dnia wrócić na Bałuty. Tymczasem Kierownikowi przypominała się jakaś ważna sprawa, któ-

rej nie obgadał z majstrami i brygadzi-
stami.

Na widok ciemnej, nieruchomej twarzy, złotych, wilczych oczu i szpakowatych włosów wszyscy trzej biesiadnicy, Siwek, Miś i cieśla Bartkowiak bez jednego palca, który kiedyś po pijanemu obciął sobie siekierą przy robocie, zdebieli.

Miś miał jeszcze tyle przytomności umysłu, że cisnął niedopitą butelkę „czystej” do kosza ze śmieciami.

— Ale Kierownik był człowiekiem spostrzegawczym.

Wypowiedziany grubym, bezdźwięcznym głosem wyrok brzmiał:

— Siwek, Miś i Bartkowiak precz z budowy!

Spór o murarza Siwka

Siwek nie miał odwagi pójść do Dyrektora i zamierzał poddać się wyrokowi Kierownika. Obmyślił sobie nawet, że przeniesie się do Białegostoku, gdzie mieszkali rodzice żony i tam zacznie nowe życie.

Nazajutrz po wyrzuceniu z pracy włożył się po mieście, a około południa poszedł na budowę na Bałutach. Naturalnie, przyglądał się z daleka, z drugiej strony ulicy, jak pracują koledzy przy podmurowywaniu stopy. Gniew nurtował w nim, że w głupi sposób stracił ciekawą i popłatną robotę, która zaspakajala jego ambicje murarskie. Chciał przecież być wysokokwalifikowanym robotnikiem, nie tylko „tynkaczem” lub tylko „murawczykiem”, lecz jednym i drugim, pełnym wykwalifikowanym murarzem, który potrafi odczytać rysunek techniczny. Po wylaniu z budowy urwały się wszystkie możliwości, czuł, że zatrzymał się w miejscu, i kto wie czy potrafi dalej posuwać się naprzód?

Posępnie patrzył na kamienicę podstemplowaną belkami i spiętą tarczami, przy której wczoraj jeszcze murował stopę.

Kompan z wczorajszej libacji. Bartkowiak, ten bez palca, podszedł do Siwka i zaczął go podbechtować przeciwko Kierownikowi. Siwek dowiedział się, że Kierownik przed wojną należał do Narodowej Partii Robotniczej, która była na usługach burżuazji i ślala dywersję w polskim ruchu robotniczym. Chociaż Kierownik podobno wywiązuje się jak należy ze swych obowiązków, ale pozostały w nim stare nawyki, wyraża się, że „bez kija na robotników żyć nie idzie”. Do fali 49 posłała znów skargę, i w ogóle Kierownik rozumie ocializm na swój sposób, wyrównuje np. niskie, powstałe ze złej organizacji pracy zarobki jednych robotników przez wpisywanie im do karty robotczej robót wykonanych przez innych robotników.

Wszystko to mogło być prawdą, ale ta prawda nie cieszyła Siwka.

Dyrektor opuszczał budowę. Siwek schował się do bramy.

Nazajutrz zaś otrzymał Siwek wezwanie do Dyrekcji. Śmierci prędzej by się spodziewał niż tego wezwania. Sekretarz wyjaśniła mu, że Dyrektor uważał jego nieobecność na budowie, zainteresował się, dlaczego nie ma go w pracy, i dowiedziawszy się, jak rzeczy stoją, kazał wezwać Siwka do biura.

Złożyło się tak, jak poprzednio, że w gabinecie Dyrektora był też Kierownik. — No i cóż, Siwek? — spytał Dyrektor. — Mów, człowieku, co masz na swoje usprawiedliwienie?

Siwek milczał. Nawet źrenice mu nie latały. Tylko czerwona twarz poszarzała.

Człowieku! Człowieku! — wielkim głosem mówił Dyrektor. — Ty swoim pijaństwem odbierasz mi wiare we wszystko, czego dokonałem w życiu! Przekreślasz wszystko, o co walczyłem! Ja sie ciebie pytam, po co ja się mordałem w sanacji, po co ja stałem po kolana w wodzie na katogach w Dachau i marłem do szpiku kości? Dlaczego ja tamto wszystko przetrzymałem? Czy dlatego, żeby teraz patrzeć na takich jak ty, co mnie znieważają i urągają swoim pijaństwem całemu mojemu życiu?

Siwek zwiesił głowę. Dyrektor porwał go za ramiona i potrzęsnał nim. — Mówże, człowieku,

mówże coś na swoje usprawiedliwienie! My oczyszczamy Polskę z przekleństw i błędów przeszłości, a ty w te błędy samochcąc włączasz!

Nie podnosząc głowy Siwek mówił zmienionym głosem: — Ja nie wiem, jak to jest, towarzyszu dyrektorze! Może to słaba wola wszystkich budowlarzy? Lokator namawia na „fuchę”, daje zadatek, a często sam stawia ćwiartkę. I to tak wchodzi w nałóg. Towarzysz dyrektor myśli, że mi może nie wstyd towarzysza dyrektora, że mi nie wstyd żony i dzieci? Wstyd mi... Jak wracam pijany do domu, to moje chłopaki ze strachu chowają się po kątach, a żona beczy.

Na koniec wyrzekł takie niezrozumiałe słowa: — Dałbym do gazet, żeby alkohol zniknął z horyzontu.

Dyrektor przeszedł się po gabinecie, po czym stanął w oknie otwartym na podwórze, które zdawało się wchodzić ze swym zielonym skwerem i krzakami przez niski parter do biura.

Obrońcy plecami do murarza powiedzieli: Będziesz miał potrącone z zarobku za dzień pijaństwa na robocie i drugi dzień — za karę. Oprócz tego będziesz miał wpisaną do akt naganę z ostrzeżeniem. A teraz idź, stań do pracy, Siwek. Robię to ostatni raz. Wszystko oddałeś tylko od siebie.

Siwek wyszedł bez słowa z gabinetu i usiadł w sekretariacie na krześle, jak człowiek, któremu zabrakło sił i musi chwilę odpocząć, zanim uda się w dalszą drogę.

Po jego wyjściu Dyrektor odwrócił się od okna, wysunął szufladę biurka i zaczął wyjmować z niej po kolei cienkie książeczki dla dzieci, w sztywnych okładkach z kolorowymi obrazkami. Były to trzy tomiki „Deszcz majowy” Staffa, „Lokomotywa” Tuwima i „Tańcowała igła z nitką” Brzechwy. Popatrzył na tytuły i obrazki na okładkach, przygryzł lekko wargi, jakby powstrzymując uśmiech, który wypływał mu na usta.

— Jak myślicie, czy to nie za poważne dla mojej smarkuli? Ma trzy lata? — pytał chowając książkę do teczek.

— Ale gdy spojrzysz na Kierownika, uśmiech zgaśł mu na ustach.

Nieruchoma twarz Kierownika, a raczej jego przymrużone oczy wyrażały gniew i niechęć. — Przed wojną bezrobocie było hamulec alkoholizmu — powiedział gburowato. — Teraz, kiedy nam ciągle mało murarzy, cieśli, dekarzy, to robotnicy lekceważą sobie rygory i dyscyplinę.

— Przed wojną? Znam też śpiewkę! Zaraz powiecie, że to socjalizm winien.

Kierownik zbył te słowa szorstkim mruknięciem.

— Otóż to właśnie bzdura! — wybuchnął Dyrektor. — Wszyscy dorastamy powoli do socjalizmu, robotnicy, którzy pracują, i lokatorzy, którzy patrzą na naszą robotę. Gdy ustana „fucha”, to wtedy też zmniejszy się trochę pijaństwo na naszym odcinku. A to „trochę” — znaczy bardzo wiele. Bo jedno pociąga za sobą drugie. Ale, żeby ustaly „fuchy”, ludzie muszą lepiej rozumieć, dokąd idziemy.

W podwórzu pod oknem przeszedł szybko Siwek w czerwonej koszuli w kratkę.

Dyrektor popatrzył za odchodzącym robotnikiem i powiedział niegłośnie, jakby do siebie samego: — Trzeba mu było pomóc! On się jeszcze wygrzebie z tej biedy.

— To się dopiero okaże! — warknął Kierownik. — Znamy takich! Jednego dnia będzie płakał i zaklinał się na wszystkie świętości, a jutro, najdalej pojutrze upije się do nieprzytomności i będzie leżał w rynsztoku. Ja to bym nałogowych alkoholików wysiedlał za karę z Łodzi — było to powiedziane z jakąś zimną zaciętością. — Może ta groźba powstrzymałaby ich przed piciem.

W parę dni później w przyjacielskiej rozmowie Dyrektor opowiedział mi różne szczegóły z życia Kierownika, który był synem łódzkiego tkacza i przeżywał razem z rodzicami ziemne koleje vegetacji i nędzy w czasach przedwojennego bezrobocia. Było coś dziwnego i niezrozumiałego w tym surowym dla siebie i dla innych człowieku, dziecku robotniczej Łodzi.

— Ale jak się potoczyło dalej życie Siwka?

Nie wiem. Postaram się to w przyszłości zbadać i opisać w następnym reportażu.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

* * *

Powroźnikom Sp-ni im. L. Korabielnikowej w Łodzi.

Robotnik, który z powrozów starych, pachnących oliwą spleta kształt dziwnej kuli jeszcze nie widział morza.

Ani okrętów, ni smukłych statków rybackich i kutrów, które o brzasku na połow jak co dnia ruszają w rejsy.

Tu w mieście tkaczy i przadek uderza przybojem morze wtedy gdy łódki powroźnik spleta kształt dziwnej kuli

odbijacz ze starych powrozów pachnących oliwą z okrętów.

KRONIKA Nr 8

STANISŁAW CZERNIK

W GÓRACH AUREZU

W góry Aurezu! Pasjonująca podróż. Przyciągają dwie zagadki: geograficzna i historyczna, czyli — ziemia i ludzie.

Najciekawszy zakątek Atlasu algierskiego, rzymskie Mons Aurasium, u nas z francuska nazywane Aurez. Góry otoczone pewną sławą. Nie stanowi o niej ani Mont Blanc Północnej Afryki, szczyt Chelia, nakryty białym turbanem śniegu, ani malownicze wąwozy w Tighanimin, ani groźne kaniony między miejscowościami Banian i M'szunesz.

Istotą sławy tych gór jest tajemnica ich ludu — górali, nazywających się „Szauja”.

Podczas pobytu w Aurezie pozostaje się ciągle pod nieodpartym wrażeniem podróży do zamierzchłych czasów, do rezerwatu dziejów. Tyle tu relikwii nie spotykanych już gdzie indziej. Górale Aurezu to „żywe muzeum”, jeżeli chodzi o życie lud. Tu, w Aurezie można jeszcze ujrzeć Afrykę Północną nie tylko sprzed okresu panowania Francuzów lub Turków, ale wiele pozostałości Afryki przedislamskiej, przedwandal-

skiej, przedrzymskiej: mimo zmienionych warunków i czasów, rezerwat Numidów przypominających zapewne obyczajami i mową ludzi z okresu drugiej lub trzeciej wojny punickiej. Oczywiście, należy unikać przesady w takim „umuzealnieniu” zjawiska. Żywotny, niesłuchanie żywotny lud Szauja, jedyny, który na swych obszarach zachował w pełni swą odrębność berberską — nie przez przypadek lecz przez świadomość plemienną i walkę — nie jest w niczym podobny do wymierających plemion. Wyjątkowy, odporny to lud, zaprawiony w walce o swój byt narodowy od kilku tysięcy lat; stanie się pełnym narodem — niech tylko rozpadnie się jarmzo kolonialnego ucisku, niech tylko zjawia się możliwości rozwoju w przyszłym socjalistycznym ustroju!

Tymczasem wartościowe plemię gó-

rali Aurezu żyje jeszcze w ramach ustroju feudalnego, celowo zachowywanego na tym terytorium przez politykę kolonialną rządu francuskiego.

I stąd nieustępliwe wrażenie, że w tej krainie nie poruszają się chyba zegary; że czas nie posuwa się naprzód; że tu się nie zmienia. Tylko niekiedy miejsce jednego człowieka zajmuje drugi. Tak samo jak w stadzie owiec. Jak w zagajniku oleandrów nad udem. Nic się nie zmienia. Czasami przyjdzie ktoś z zewnątrz. Pożyje krótko wśród ludzi — na uboczu — spojry na stado owiec, zachwyci się oleandrami — i odejdzie. Jeśli rzecz jaką zostawi po sobie, dom, nawet instytucję — tak jakby jej nie zostawił. Rzecz zniknie, dom się skruszy, niezmienni pozostają ludzie, owce w górach, oleandry w uedach.

Dziś można stwierdzić, że jest tak samo jak przed dwudziestu laty. Zegary tu się nie poruszają. Dwadzieścia lat temu było podobnie jak przed stuleciem. A przed stuleciem?

Wruszająca to wycieczka do minionego czasu.

A znakomitych świadectw dziejowych nie ma. Właśnie u podnóża Aurezu leżą wspaniałe wykopaliska Timagadu, dokument rzymskiej potęgi i organizacji. Rzymianie na pustynię przynieśli swój Rzym, by nim olśnić nieuczynnych górali Aurezu. Lecz nie zdobyli gór, nie ujarzmili ludności ani mieczem, ani Timagadem. Przeszli wprawdzie przez główne uedy, umieścili pamiątkową tablicę w najtrudniejszym przejściu i z forum Timagadu, z lambejskiego pretorium, przyglądali się sąsiadnym górcom. W odpowiednim momencie mieszkańcy gór zniszczyli grożące im fortece i miasta. Potem plasek na wieki zasypał ruiny i nie się nie zmieniło.

Niewielki to obszar. sto kilometrów wzdłuż, sto kilometrów wszerz. Ludzi? — najwyżej osiemdziesiąt tysięcy — tylu uratowało się przed potopem dziejowym.

Czterdzieści lat temu Leon Sougeunet, autor ciekawej książki o Aurezie („Julia Dona”) zapisał:

„Aurez jest otoczony tajemnicą i aureolą legendy. Mówi się o jego lekkich obyczajach, o jego górach i wąwozach. Ale nikt tam nie idzie. W sercu kraju, w Arris, znajduje się administrator cywilny. On, jego pomocnicy, trzech kolonistów i Biali Ojcowie — to jedyni Europejczycy w Aurezie.”

Nie, nie jedyni. Autor nie chciał lub zapomniał wymienić żandarmów.

Dziś tak samo, jak przed czterdziestu laty, kilku Europejczyków administruje obszarem przy pomocy miejscowej arystokracji feudalnej, przeważnie arabskiej. Jeżeli coś się zmieniło, to chyba liczba żandarmów.

Francuska polityka kolonialna nie popiera odrębności Aurezjan. Utrzymo stary feudalny system, praktykowany poprzednio przez Arabów. Z pomocą feudałów arabskich w dalszym ciągu rządzi się krajem. Narzuca się Arabów na szeków, naczelników gmin. Jest to taktyka przetrwania nieprzychylności na obcoziemnych wykończonych przy czym administracja francuska zachowuje pozory łagodnego, dobrego nadzorca, krzewiciela cywilizacji i t.p.

Postępowa opinia francuska potępia tę taktykę, twierdząc, że należałoby rozwijać związki między resztą tej kultury berbersko-rzymskiej a kulturą gallo-rzymską. Lecz administracja tymi subtelnościami nie przejmując się. Nie Francuzi nie zmienili, by Aurezjan nie poculi się sobą w jakimś autonomicznym znaczeniu, by mogli kultywować swój język, wykształcić inteligentów Aurezjan, nauczycieli lub księży, by temu szacunku godnemu ludowi zapewnić jakiś rozwój kulturalny, chociażby w sensie najskromniejszym. Pod tym względem potomkowie Masynissy nie zaznali żadnej opieki od imperialistycznej Francji.

Pierwsze spotkanie z przedstawicielem Aurezjan nastąpiło w uedzie przy strumieniu. Pasterz przywiódł owce do wodopoju. Ubrany w lekką suknię podobną do tuniki, odelaną golizną nóg i ramion. Nie wszyscy tak się noszą. Więc pewnie relikwii dawnego stroju, może istotnie z epoki Masynissy. Pasterz — to pewna postać w tej społeczności góralskiej, maż zaufania, „baca” Aurezu. Spokojny, myślący, łagodny.

Jestem Szauja — mówi — nie trzeba mnie uważać za Araba.

Znamienna jest pasja tutejszego ludu do zaznaczania na każdym kroku swej odrębności. Pytani i niepytani, przedstawiają się każdemu obcemu, jakby obowiązywał ich jakiś nakaz społeczny; — My nie jesteśmy Arabami. Nazywamy się Szauja. Mówimy własnym językiem. Nie należy nas mieszać z Arabami.

Rodzice wpajają dzieciom od niem-

włectwa tę świętą formułę, modlitwę do cudzoziemców o uznanie ich odrębności. Każde dziecko potrafi ją odmawiać.

Rozmawialiśmy z pasterzem przy pomocy tłumacza. Szaujanie nie są rozmowni. Ale odznaczają się niezwykłą uprzejmością. Skinał głowę, gdy wyraziliśmy życzenie, by opowiedział nam coś o swoim kraju.

— O Kahinie. Usłyszeliśmy kłechdę o Kahinie — Wandzie, Joannie d'Arc Aurezu. W tej legendzie zawarta jest niezapisana historia ludu gór.

— Jesteśmy Szauja, i zawsze będziemy Szauja, dopóki wśród naszych gór przebywać będzie Kahina. To nasza wieś, wieś, wieś, wieś, od tysięcy lat wiecznie młoda. Mieszka w grocie podziemnej, w której nie braknie światła, wody, zieleni, — jak w oazie. Ludzie nie mają dostępu do tej groty. Kahina wychodzi z podziemi, gdy Szaujom grozi niebezpieczeństwo. Wzywa lud i prowadzi go na wroga. Gdy trzeba, gubi całe ich miasta, w gruzach rozwalających twierdz.

Przy ostatnim zdaniu pasterz wskazał w kierunku ruin Timagadu. Legenda wiązała się z tradycją historyczną, której świadectwem było zburzone miasto rzymskie.

Pasterz mówił dalej:

— Kahina chroni nas od Arabów. Arabowie przeniknęli wszędzie. Od nas musieli odstąpić. Kahina wypędziła ich płomiennym mieczem. Nie wierzysz? Ze kilku szeków arabskich panoszą się w Aurezie? Prawda, ale ich nie będzie, gdy Kahina zechce. Kahina jest cierpliwa. Kahina dała nam przykład — pamiętaj, że jesteś Szauja.

— Kiedy Kahina ostatni raz zjawiała się w Aurezie?

Pasterz spochmurniał. Rzekł gniewnie:

— Nie pytaj. O tym wiedzą najlepiej umarli.

Okazało się, że pytanie nasze było nie- zreczne. Ostatni raz bowiem Kahina poruszyła Szaujów w 1916 roku. Dobrze jeszcze pamiętano to straszne powstanie przeciw administracji francusko-arabskiej. Ruch został krwawo stłumiony. Ale od tego czasu nie ma mowy o osadnictwie Francuzów lub Arabów w Aurezie. Pozostała tylko administracja, wykorzystująca umiejętnie stosowany system feudalny. Aż do czasu nowego zjawienia się Kahiny? — Tak, odpowie każdy Szauja.

Legenda o Kahinie odsłania jedną z tajemnic Aurezu.

* * *

Szliśmy brzegami wielkiego uedu o nazwie Abiod. Było to całkowite zanurzenie się w egzotyzmie, odejście od tych wszystkich szczegółów, które w Afryce stanowią jeszcze o Europie. Na przestrzeni stu kilometrów, dzie-

jących Arris, główny ośrodek Aurezu, od Biskry leżącej po przeciwnej stronie gór, nie ma nic z Europy. W ciągu tygodnia naszego pobytu w głębi gór nie spotkaliśmy osiadłych Europejczyków, gdyż ich tam nie ma. Przebiegli nam tylko drogę dwaj francuscy żandarmi będący w objęździe terenu. To wszystko.

Byliśmy jakby za światem. Ani jednego drobniaczka z urządzeń cywilizacyjnych. Technika tu nie dotarła. Szkoła marzyć o telefonie. Nie wiadomo, czy i jak dociera poczta. Miejscowa ludność komunikuje się jakimś pradawnym sposobem, swoistym telegrafem bez drutu. Wieść biegnie z góry na górę, do osiedla do osiedla ze zdumiewającą szybkością. Nikt tu oczywiście nie posiada radia. Nikt nie czyta gazet na linii między Arris a Biskrą. Inne życie. Nikt nie jest ciekaw dalszego świata. Samowystarczalność zainteresowań. Przez tydzień nie dochodziło tu żadne echa wielkiego szaleństwa wojny. W tym czasie mogły nastąpić przełomowe dla ludzkości wydarzenia. Echo ich przeszłoby tu po pewnym czasie, jako wieść niezbyt ważna; odgłos niezrozumiałych tragedii przeszłoby bez wrażenia. Po wyjściu z gór stwierdziliśmy w Biskrze, że nie nowego nie zaszło.

Schodziliśmy od północnych „gela” na południe ku pustyni. Pierwszym przełomem granicznym między dwiema strefami jest słynny wąwóz w Tighanimin. Już przed nim pierwsze zapowiedzi palm. Tam, gdzie poprzez wyrwy w górach przedarło się gorętsze tchnienie pustyni. Najpierw jakaś mizerota przydrożna, skarlawała palemka, pożałowania raczej godna niż nazwy. Wkrótce potem już zespoklik podobnych biedactw, maleńka grupka drzewek żerzących o trochę większą garść słońca. Dopiero u samego wąwozu, który jak tunel łączy góry z atmosferą pustyni, spotyka się poważniejsze okazy palm. Zbliżamy się do przełomu.

Wąwóz tighaniminiński wygląda jak brama wylamana przez Heraklesa. Dwa potężne bloki skał, niemal pionowo stojące nad Abiodem, godne są nazwy kamiennych strażnic, dzielących góry zimne od gór gorących. Różowawa barwa tych baszt uprzyjemnia jednak i łagodzi grozę.

Ślady rzymskości zachowały się i tutaj. Wprawdzie Rzymianie, jak ogólnie twierdzi się, nie opanowali ostatecznie gór Aurezu, ale dolinka Abiodu przeszła słynną legia rzymską. W skałach wykuto tu jeszcze jedną drogę prowadzącą do Rzymu. Została do dnia dzisiejszego jako wieczna pamiątka. Na ścianie skały dwutysięcletnia już prawie tablica świadczy o autorstwie dzieła. Nie zniszczyło jej słońce, potopowe deszcze, ani złośliwość człowieka. Wielki uszanowały napis o rzeczy zbudowanej na wieki. Dziś Aurezjanie szczytą się tą tablicą, jakby była ich dziełem. Nie bez pewnej racji: oni ją zachowali.

ANATOL STERN

Dialog karnawałowy

1.

Bulgoce, bełkoce, klinie
ktoś w przezroczystym dziwadle.
Kogo przeklinasz tak? Mnie?
Wyznaj, iskrzący się diable!

Co tak przeklinasz? Swój los?
Ześ musiał w butli się schować?
Próżno wyściubić chcesz nos,
O, strzygo spirytusowa!

Na próżno! Któż lepiej wie,
jak mocne więzy nas strzegą,
niż ja, zamknięty na dnie,
dnie tego dnia zimowego.

2.

Rechoce, iskrzy się młdo —
nie tylko on więc jest więzieniem!
Pęka ze śmiechu złe szkło:
ach, razem, razem ugrzęźniem!

Cóż, śmiej się w wodzie swej śmieję!
Na krótko śmiechu ci starczy.
Za rogi wyrwę cię z niej,
psiry duszokradzie jarmarczny!

Miotła się w szkło skrzący dżin,
ze zgrozy drżąc niewymownej...
A ja haustem, haustem płyn,
jak ogień sztukmistrz wędrowny.

3.

Łykam i śmieję się doń,
we władzy żądz ludożerczych.
A on... On — dęba jak koń!
Wierza, i płonie, i skwierczy.

Choćbyś mnie dźgał niby nóż,
na nie to sina maskaro!
Targaj mnie wichrem swych burz,
I każ wodzić za nos oparom!

I wtedy z dala przez mgły,
śpiew pierwszy, szept zadyszany...
Bledną. I palą mnie lzy...
Jak boli,
jak boli,
jak boli szept zapomniany!...

4.

Wczorajszą młodość mi daj —
wzamięm, Mefistofelu...
A jemu tylko w to graj:
zgoda, — już jesteś u celu!

Przejrzyj się w którymś z tych lustr,
jak cię moc moja zmienia!
Czy czujesz pożar swych ust,
czy czujesz pożar w swych żyłach?

Wbijają się oczy w szkło,
pijane słodką nadzieją.
To młodość śpiewa za mgłą,
to młodość szumi zawieją...

5.

Czekaj!... Poplątał coś czart.
Albo to może od wódki...
Ta siność zgorzkniałych warg,
oczu czerwone obwódki...

Kto nożem pociął mi twarz,
bruzdami twarz mi poorał?!
W jakąż to grę ze mną grasz,
biesie, sztyderczy jak morał!

Przygasle spojrzenie ócz
i szare zmierzwiłone włosy...
Ach, ktoż to zrobić mógł, prócz
ciebie, ty psie czarnochwosty!

6.

Oddaj mi młodość ma, ty!
Ja chcę, ja muszę od nowa!...
A on ze śmiechem aż rży,
i w lustra taflę się schował.

Zaśmiewa się lśnieniem bies,
oślepia bryzgami wody...
Poczekaj!... Szkłem w szkło!... I szczył.
Cóż biesie! Znow jestem młody!

Na kogoś tam naskoczyli.
A czart? Czart ruszył na łowy...
Czas przerwać ten dialog, mili,
ten dialog karnawałowy.

WANDA KARCZEWSKA

Na granicznej stacyjce



Rys. T. Kokietek

Dalej już pociąg nie szedł. Była to graniczna stacyjka. Dwa razy na dobę zatrzymywał się tu pospieszny Berlin-Warszawa, biegnący stąd poza tym parę bocznych linii kolejowych. Jeślibyś chciał ruszyć dalej ku granicy — pozostawał dychawiczny autobus lub przygodnie schwycone konie.

Był wieczór. Poczekalnia zatłoczona wojskiem. Jedni żołnierze siedzieli na ławach, porozpięrami między zwałonymi na nie tornistrami, inni stali gdzie popadło, zwróceniem twarzami to tu, to tam, trzymając oburącz przed sobą wsparte o ziemię karabiny. Trwali tak z otwartymi oczami ludzi, którzy potrafią spać stojąc. Dwóch młodych oficerów w czapkach zsuniętych na tył głowy grało pod zimnym, kafilowym piecem w szachy. Otaczała ich, zachowując przyzwoitą odległość, grupa szeregowych, wpatrzonych tępo w figurki poruszające się wolno na zniszczonej szachownicy, a może w pustą butelkę wina, którego ślady świeciły się pośród rozrzuconych na stole niedopałków.

W zadymionym kłębiście pomieszczeniu, słabo oświetlonym wysoko umieszczoną żarówką, trwał monotony usypiający gwar, podobny do szumu wody na rzeczonym jazie.

Trzech młodych chłopców w robotniczych kombinizonach popatrywało doremnie po tłumie, szukając jakiejś dziewczęcej twarzy. Ta co siedziała przede mną na stole, w szaliku na włosach, z roboczą torbą, robiąc coś na drutach, już dawno przekroczyła granicę wieku, poniżej której kobiety interesują osiemnastoletnich chłopców. Była zresztą szara, jak ten cały tłum w wytartych ubraniach, tłustych dresach, zniszczonych waciakach i zabłoconych butach. Gdzieś w drugim kącie poczekalni, za martwą gęstwą żołnierzy, odzywał się czasem drażniący pisk dziewczyny, przyciskanej przez jakiegoś Józia, którego imię parę razy wyniosł ten przykry pisk na powierzchnię zgrzęzłej stacyjnej nudy. Drzwi otwierały się i zamykały, wchodził pasażerowie. Nowe kałuże topniejącego śniegu rozlewały się u ich stóp. Było lekko, żółto. Lutowo.

Wtem drzwi otworzyły się szerzej. Stał w nich pewnie ktoś, kto na widok zatłoczonej salki zawałał się nieco, bo przez dobrą chwilę biegł po nogach ścisły ziąb. W powietrzu przycichło jak-koś. Gość szedł, przedzierając się przez tłum. Dopchał się do ławy, usiadł na skwapliwie opróżnionym miejscu. Gadtliwy filozof wiejski w drucianych okularach, siedzący obok w kącie,

Szczyły już niektóre litery. Lecz czytać można. Takie zakończenie:
..... VEXIL
LEG VI FERR VIA
..... VEXIL

Daleko jeszcze do właściwej pustyni, ale po przebyciu wąwozu odczuwa się wyraźną zmianę klimatu; gorące wiewy, żarne podmuchy. Wkrótce w uedzie zaczynają gęsto wytryskiwać pierwsze strumienie palmowego lasu. W miejscowości Tifelfel już widać prawdziwą gęstwinię. Rośnie tam kilka tysięcy drzew.

W Tifelfel przyjmuje nas kaid, sprawujący władzę nad okolicą z ramienia administracji francuskiej. Jest to wyjątkowo rozmowny Arab, jedyny przedstawiciel arabszczyzny wśród tubylczych Berberów. Podwójnie obca władza.

Południe, wszyscy wyczerpani upałem, cały świat senny, bezsilny, rozstrojony. Kaid i jego pomocnik podejmują nas jednak gościnnie. Pijemy herbatę na sposób arabski: z pewną domieszką mięty. Gorąco odbiera ochotę do gawęd. A i rozmawiać trudno, gdyż prócz kaida nikt tu nie umie po francusku. Słuchamy jednak legendy o powstaniu miejscowości Tifelfel. Jakas sentymentalna historia o nieszcześliwej miłości Rzymianina. Właśnie on się nazywał Tifelfel. Łatynskość nazwy co najmniej wątpliwa, jednak legenda wskazuje na przechowywanie się tradycji rzymskich wśród Szaujuów.

W osadzie dzieci jak maku. Pytamy o szkołę. Tak, jest szkoła tradycyjna, koraniczna. Przygotowuje dzieci do życia religijnego, wpaja przepisy Koranu. To wszystko. Właściwie więc nie ma szkoły. Dziwi nas to. Lecz trochę rozumiemy.

Francuska polityka kolonialna nie popiera oświaty tubylców, jako rzeczy niebezpiecznej dla imperializmu.

Nie się tu nie zmienia. Właśnie przebiega droga wesele aurezjańskie. Drużbowie pedzą na koniach i strzelają z jakichś starożytnych strzelb. Tak było przed wiekami. Tak pozostało.

Nad uudem Abiod, w okolicy wąwozów tighanińskich życie nie ulega zmianom, nawet w dzisiejszych czasach błyskawicznych przeobrażeń.

* * *

Z Tifelfel posuwamy się na południe wzdłuż Abiodu. Kilkadziesiąt kilometrów — pełnym bezludziem. Ani jednego człowieka! Nie przyzwyczajeni do pustki, czujemy się niesamowicie. Wrażenie potęguje się wskutek obserwacji krajobrazu. Nie przeżywalimy dotychczas nigdy takich widoków. Wyobraźnia nasza raz wraz zostaje poruszona, zaskoczona, wstrząśnięta. Nie wiedzieliśmy, że to dopiero wstęp. Czekaliśmy na istne nagromadzenie niesamowitości w dolinie troglodytów.

Dolina troglodytów, ludzi jaskini-

wych — to nie przenośnia ani ozdobnik literacki.

Nazwaliśmy Aurez rezerwatem dziejów. Oto nowe potwierdzenie tego określenia. Oczywiście, nie cofamy się do okresu kamienia łupanego, do jakiejś zamierzczłej pierwotności. Ale bądź co bądź niespodziewanie znaleźliśmy się wśród ludzi mieszkających w jaskiniach. Unowocześnieni jaskiniowcy, znający żelazo i banknot, karabin i samochód, zandarmów i turystów, najrozmaitsze „cuda” cywilizacji. Niemniej ta cywilizacja nie zmieniła zasadniczo warunków ich bytowania, które są niewątpliwie — nie w całokształcie, ale w wielu szczegółach — reliktem odległej przeszłości.

Miejscowość, o której mowa, nazywa się Roufi. Tu ludzie gór, czciciele szczytów, zesłali do jaskiń. Ale wysoko, na urwiskach wznoszą się też okazałe domostwa kamienne, sprawujące z odległości wrażenie zamczysk.

Pytaliśmy, kto tam mieszka.
— Krewni marabuta, potomkowie szeika.

A więc arystokracja miejscowa, feudalowie.

Roufi leży w szerokiej rozpadlinie Abiodu, tworzącej dolinę podobną do głębokiego kamiennego koryta, obramowanego z dwóch stron potężnymi ścianami kanionu kilkusetmetrowej wysokości.

Jedna z tych ścian o nieco łagodniejszym spadzie posiada rozległe jaskiniowate wydrążenia ciągnące się na przestrzeni jednego lub dwu kilometrów. Kaprys natury, zresztą rozumiały tutaj wśród starych, rozsypanych się, próchniejących skał. Osobliwe, że te wydrążenia nie leżą przy podstawie ściany skalnej lecz ciągną się niby tunelem mniej więcej w połowie wysokości podłożnie przez jej środek.

W tym przesmyku obfitującym w zagłębienia, maleńkie grotty, niedokończone jaskinie, osiedlił się człowiek. Stopniowo dostosowywał to naturalne schronienie do swoich potrzeb, zapelniał szczyby w grocie, w razie potrzeby budował przy ściankach z tego samego materiału skalnego, tworzył zamknięte mieszkanie. Mimo tych uzupełnień, stylizowanych drzewce, w których bywa zazwyczaj okienko, mieszka w jamie palona w cienkiej, arabskiej bibule! Zegnajcie, plemiona Szauja! Wierzymy, że wasza klechda odwieczna, pieśń o bohaterkiej Kahinie, stanie się hymnem wolnego narodu Szauja. Wierzymy, że na szczytach gór Aurezu obok zabytkowych zamków-śpiżni, zamienionych w muzea, staną domy i pałace kultury i sztuki. Wierzymy, że w Roufi na miejscu jaskiniowego hotelu dla bogatych snobów z Atlantyku stanie gmach pierwszego uniwersytetu szaujańskiego. Wierzymy, że... Cóż mnożyć przykłady! Wierzymy. Lud Szauja wytrwa. Będzie wolnym narodem!

Obok „chat” w podobnych jaskiniowych stajniach stoją muły i kozy.

I oto w tej troglodyckiej osadzie — znamienity bilet wizytowy „kultury atlantyckiej”. Niech mówi sam za siebie. Na kilka lat przed wojną założono w Roufi mały hotel przeznaczony dla bogatych turystów amerykańskich, businessmanów szukających snobistycznych

mogła tu być przed chwilą i — więcej nie wrócić.

Zaczęła czytać. Zdawało mi się, że chciała się raczej zasłonić gazetą, odgrodzić od wszystkich oczu czarnym, tłusto drukowanym tytułem „Trybuny”. Jego powaga — patrzcie no, co ona czyta, ho, ho! — miała studzić zachwyt, pragnienie, pożądliwość, zacieśniającą się wokół niej coraz bardziej.

Czytała dobrą chwilę, ale jednocześnie ręka jej — znów zauważyłam to z boku — manipulowała ostrożnie w kieszeni. W końcu dłoń jej wysunęła się stamtąd z czymś, co oparła o gazetę, pochylając nad tym głowę. Przyjrzałam się. Było to małe, okragłe lusterko. Dziewczyna sprawdziła w nim swoją twarz, szukając jakiejś plamki czy skazy, która poza urodą mogłaby przyciągać ludzkie spojrzenia. Nie znalazłszy jednak nic takiego, dziewczyna pochylała się jeszcze niżej nad lusterkiem i — usta jej, tak, jej usta rozchyliły uśmiech. Śmiała się, uciechowała własną urodą, teraz rozumiejąc w pełni zapał trzasku. Podniosła lekko czoło, pomyślała, po czym schowała lusterko, wyprostowała się i opuściła gazetę. Siedziała teraz z podniesioną głową, z opuszczonymi powiekami, zaróżowiona lekko, nie broniąc już więcej ludzkim oczom radości, dając im świadomie dar swojego piękna, podniesionego jeszcze skromnością i powagą zachowania. Ludzie jakby odczuli to. Uśmiechy mężczyzn traciły pożądliwość. Kobieta, która dopchała się do swego Józia, grubą, umalowaną dziewczuchą, spojrzała na dziewczynę, otworzyła usta, jakby do krzyku, potem — przygryzła je, odwróciła się w milczeniu.

Było tak, jakby ściany poczekalni



Z gór Aurezu

wrażeń przy sposobności usilnego penetrowania Afryki Północnej.

* * *

Pożegnanie Aurezu nastąpiło w najbardziej dramatycznym węzle zmagających się białego uedu z niebotyczną twierdzą gór.

Zdobyty ostatni szczyt. Przed nami przestrzeżniony, jak okrzyk olbrzyma, ogromny zachwyt wydechu: bezkres! Zegnajcie, góry Aurezu, góry dzikie, okrutne, nieprzychylnie dla ludzi! Zegnajcie, uedy wonne, jak kora jałowca palona w cienkiej, arabskiej bibule!

Zegnajcie, plemiona Szauja! Wierzymy, że wasza klechda odwieczna, pieśń o bohaterkiej Kahinie, stanie się hymnem wolnego narodu Szauja. Wierzymy, że na szczytach gór Aurezu obok zabytkowych zamków-śpiżni, zamienionych w muzea, staną domy i pałace kultury i sztuki. Wierzymy, że w Roufi na miejscu jaskiniowego hotelu dla bogatych snobów z Atlantyku stanie gmach pierwszego uniwersytetu szaujańskiego. Wierzymy, że... Cóż mnożyć przykłady! Wierzymy. Lud Szauja wytrwa. Będzie wolnym narodem!

STANISŁAW CZERNIK

rozstąpiły się i nad lodowym szczytem, nad reglami, w powietrzu wzięliśmy od zapachu jodeł i leśnego chłodu stanęło słońce. Jeszcze chwila, a usłyszalibyśmy śpiewny chrząst potoku pod śniegiem, ujrzałbyś jak spod jego polysklowej chropkości przebiega się wiosenny górski kwiat. Nagle — drzwi wejściowe otwarły się gwałtownie. Do wnętrza wpadła, niby stado giliw z czerwonymi podgardlami, gromadka licealistek w zetempowskich krawatach. Dziewczyna obok zerwała się, podbiegła śpiesznie, jakby czekała na tę paplącą czeredkę. Zdawało się, że śmiech dziewcząt wywołują ją z zakłętego lodowego szczytu. Zbiegła zeń szybko, przelotnie lekko stopy zawisły niemal w powietrzu. Pociągnęła za sobą dziewczęta; wybiegły jeszcze szybciej niż się pojawiły.

Słońce zapadło. Po chwili po dziewczętach pozostało tylko echo śmiechu, szybki tupot nóg, jakby na śnieżną polanę wpadło, zatrzymało się nagle i umknęło z powrotem cwałujące stadko saren o stukających kopytkach.

Ktoś obok mnie westchnął. Druży kobiety, siedzącej przede mną na stole, zaczęły się znowu monotonicznie poruszać. Oficerowie pochylili się nieochotnie nad martwymi figurkami szachów, tropiąc jeszcze słuchem odgłosy zza drzwi. Wokoło słabej żarówk pod sufitem gęstniał znów brudno-siną kłęb dymu i kurzu. Ściany poczekalni zbrzydły, pozimniały. Było znów, jak na początku, — lepko, żółto. Tylko młodzi żołnierze, ściskając oburacz lufy karabinów wspartych o ziemię, patrzyli na zatrzaśnięte drzwi z rozpaczliwym żalem.

WANDA KARCZEWSKA

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Nad pasieką deszcz

To na olszynie szum, to nad pasieką deszcz
i pod płotem ciżbą pokrzywy —
ani wzrokiem za płot, ani myślą za mrok,
tylko usiąść i szmerem się dziwić...

Siedem kręgów na mrok, spleta dźwięki jak sieć,
dźwięki gasną przykryte deszczem,
ani słów, ani gwiazd, tylko kroplą o głaz
brzęczy wieczer w uśpionej pasiece.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Stara Niemka

W kapeluszu staromodnym,
Pomarszczona, zahukaną,
Po nadmorskiej Uście drepce
Stara Niemka obłąkana.

Jak słuczony, nędzny garnek,
Na wybrzeżu porzucony,
Zostawili ją tu krewni,
Bezlitości dla szalonej.

Drży starucha zasuszona,
Wystraszona myśli sobie,
Że ją skrzywdzą ludzie, których
Katowali jej ziomkowie,

Więc każdemu Polakowi
Kłania się do ziemi ona
I „dzień dobry” wciąż powtarza,
Jak zabawka nakręcona.

Drży, bo myśli, że za zbrodnie
Swoich synów jest nam dłużna,
Więc się dziwi, gdy do ręki
nieraz spadnie jej jałmużna.

I ogląda nasze grosze
Tak, jak gdyby zgłębić chciała,
Czy te grosze dał jej człowiek,
Mewa, wiatr, czy piana biała.

Rawskie paradoksy

(Dokończenie ze str. 1)

Kultury. A że nie wypada im się do tego przystąpić — powiadają o rawskim, że — „na ostatnim miejscu, kultura w nim leży”. Tak. W powiecie rawskim rzeczywiście straszny: nuda i obojętność wobec spraw kultury, mająca wielu możnych sprzymierzeńców. Rozglądnijmy się za nimi nie tylko w rawskim, Rawie, Łodzi, lecz i w Warszawie.

Jarżmo kultury

Przyjeżdżnych ludzi obojętność dla spraw kultury tylko straszny. Miejscowych, skazanych na stałe z nią obcowanie, ponadto obojętność, wyjąławi, zabija w nich zapal do pracy, każdą ciekawszą myśl. Że nie można oddzielać postępów w rozwoju gospodarki od rozwoju oświaty, kultury — w powiecie rawskim rozumie to nauczycielstwo i nieliczne, niestety, jednostki. Nauczycielstwo rawskie stanowi pasjonujący temat do odrębnego artykułu. Wspominamy tu jedynie o tych niezwykłych nauczycielach, prowadzących, poza licznymi obowiązkami, pracę kulturalno-oświatową w swojej wsi. Ob. Leos — kierownik szkoły w Babsku jest duszą zespołu chóralnego i tapecznego świetlicy PGR; kierownik szkoły z Chrzaszczewka znany jest jako opiekun wypuszczających do dużym powodzeniem przed dziećmi i dorosłymi — teatryku kukieliek. Ob. Rosiakowa — nauczycielka z Ossowic — nie tylko zorganizowała zespół teatralny, ale wyreżyserowała sztukę i sama w niej grała. Te zespoły ratowały honor kultury rawskiej na eliminacjach konkursu X-lecia. Trzeba było widzieć, ile radości i zdrowej dumy wnosiły występy tych zespołów na wsi. A gdzie 35 świetlic gromadzkich — w tym 6 z etatowymi kierownikami? Co się stało z najlepszym rawskim zespołem tanecznym i teatralnym „Spółdzielni Produkcyjnej — Biała Rawska”, który jeździł kiedyś na dożynki centralne do Szczecina? Wojewódzki wydział kultury wyjaśnia: „płynność kadr”, a ZSCH — już tylko ręce rozkłada. A co zrobiono, żeby tej płynności nie było? Kierownik oddziału kultury PRN, czy kierownik świetlicy, pracują w atmosferze obojętności, a niekiedy wręcz ignorowania kultury.

Wali się na pierwszego, a potem drugiego — 125 najprzeróżniejszych konkursów, akcji, zebrań, analiz, sprawozdań itp. itd. W takiej sytuacji praca przestaje być przyjemnością a staje się jarżmem. Czy można się dziwić, że co energiczniejszy człowiek, jeśli tylko nadarzy mu się okazja odejścia do przyjemniejszej i lepiej płatnej pracy — zrzuca z siebie to jarżmo kultury? Gdy się chce zbyt wiele — to się nie ma nie. Nie ma się nie również w wypadku angażowania do pracy na polu kultury ludzi nieodpowiednich — nieprzygotowanych, z którymi nie wiadomo co robić. Ci nie zorganizują życia kulturalnego.

Ob. Piekarska, kierowniczka najlepszego zespołu wspomnianej spółdzielni produkcyjnej — „Biała Rawska”, rozczarowała się ogromnie do pracy kulturalno-oświatowej i postanowiła z nią zerwać na zawsze. Zakopala się w pracy biurowej GS. Przyszła jednak kiedyś na przedstawienie Teatru Ziemi Łódzkiej w Białej Rawskiej. Gdy w dyskusji po przedstawieniu z sali padło jej nazwisko jako osoby zdolnej do poprowadzenia amatorskiego zespołu teatralnego — Piekarska uciekla z sali, nie chcąc nawet słyszeć o tym. „Proszę mi dać święty spokój, jestem szczęśliwa, że uwolniłam się od tego jarżma kultury”. Namowy, uznanie widzów, obietnica pomocy ze strony władz miejscowych i teatru sprawiły, że ob. Piekarska dała się jednak skusić na wystawienie „Konkubów” Piechala. Powiedziała przy tym: „spróbuję po raz ostatni, jeśli praca spotka się ze zrozumieniem — zajmę się na stałe robotą kulturalną, a nie — zerwę z nią też na stałe!”. Ciekawe — będzie to zrozumienie, czy też nie?

Inny fakt: świetlica GRN w Rzeczy, kiedyś na wzór izby wiejskiej pięknie ozdobiona pracami miejscowych twórców ludowych i starodawnym sprzętem — rozbrzmiewała muzyką, śpiewem, śmiechem — dziś jest ogołoconą, opuszczoną i bez kierownika. Wielu jest amatorów na to stanowisko. Księgowy GS, który zasłynął tu jako organizator pięknego widowiska ludowego, byłby chyba najodpowiedniejszy. Już

widzę, jakby ob. Kosiński wystawił „Wesele rawskie”, które ażeby mogło być zagrane, musiało wpiąć wyemigrować do powiatu kutnowskiego. Lecz ktoś zgodzi się zamienić spokojny żywot księgowego za 1100 złotych na jarżmo kierownika świetlicy za 600 złotych? Dziś w świetlicy rzeczywistej nie się nie dzieje, liczą tu i chętna do pracy w zespołach młodzież — miast stać się podporą kultury, jest podporą plotów i nudy. Tak, kochani, kultura, jak każda dobra rzecz, kosztuje — w jednym miejscu mniej, w drugim więcej — nie tylko pieniądze, ale i zachodu. Trzeba widzieć i znać sprawy i ludzi, oceniać należycie czyjąś pracę, a czasem nie tylko mówić, pisać, ale po-fatygować się na miejsce, w sposób konkretny pokazać, jak robić, aby kultura była tym, czym jest dla rawskich twórców ludowych — pięknem, tworzeniem nowych wartości i zabawą, a nie jarżmem.

U kolorowych źródeł

Rzeczycza. Z daleka — w zwykłym baraku, zwykle dziewczęta wiejskie, pod kierunkiem zwykłej gospodyni — Antoniny Legutowskiej — tkają różne rzeczy. Z bliska — z tylu zwykłości powstaje jednak coś niezwykłego, coś... co tu poetyzować! Powstają pod rękami tych tkaczek — artystek — tkaniny tak urzekająco piękne, że tylko zabierać je ze sobą. Jeszcze bardziej dekoracyjnie wyglądają one z oryginalną wycinanką rawską. Nic dziwnego, że trafiają na wystawy krajowe, do Budapesztu, na Międzynarodowe Targi w Poznaniu, Lipsku i do dalekich Chin. Pomyślale: śmielsze u nas upowszechnienie tych ludowych dzieł podniosłoby estetykę wielu miejsc pracy, mieszkań, świetlic, ubiorów zespołów artystycznych. Kiedy nabiegalem się po wsi, natrzyłem na te, jak z bajki, stroje, tkaniny, wycinanki, pajaki, nasłuchałem nie mniej barwnych opowiadań i pieśni ludowych — dowiedziałem się, że to dopiero cząstka tego, co tu można zobaczyć i usłyszeć.

„A przecież będąc w tych stronach — przekonuje mnie Legutowska — nie można pominąć takiego samego zespołu tkackiego w Królowej Woli, dziewiarzskiego w Inowłodzu, twórców ludowych z Legonin, i przede wszystkim Zakosciela — sławnej babci Siwkowej z całą artystyczną rodziną — z jej: siostrami — Królikową, Sobolewską, synem Zygmunt, córką Przyborkową i wnuczką Przyborkową”.

Z Zakoscielom, Rzeczą i innymi ciekawymi ośrodkami bujnego rozkwitu sztuki ludowej w powiecie rawskim, pielęgnowanej tylko przez setki Legutowskich i Siwkowych — trzeba się zetknąć osobiście. Jeśli kiedyś będziecie w Spale, nie zapomnijcie o spacerze do kolorowych źródeł. Zamysliłem się u tych bijących dziś coraz żywiej kolorowych źródeł twórczości ludowej: jaki piękny mógłby powstać ludowy zespół pieśni i tańca „Rawa”? A ta! Bogactwo rawskiego folkloru — strojów ludowych, pieśni ludowej, tyle chęci do tańca i śpiewu marmuje się. Coś takiego organizowała C.P.L. i A. Tomaszowska z pracownikami podległych jej warsztatów rawskich, dziewczęta rzeczywiste nawet wykonywały już 11 kostiumów ludowych w tym celu. Ale czy to dlatego, że Tomaszów — inny powiat, czy trudności dowieżenia pracowników na próby do Tomaszowa, choć że Warszawa przekreśliła te plany. Daremnie też zgłaszały się dziewczęta rzeczywiste do organizowanego kiedyś zespołu tanecznego i chóralnego na miejscu. Daremnie ludowi twórcy Zakosciela wskazywali, gdzieby mogła stanąć upragniona przez nich choćby barak-swiećlica, daremnie... Babcia Siwkowa wycina tylko koguty — setki, i nie innego! Zapytana — dlaczego tylko koguty — powiedziała:

— Koguty pieją na budzenie i pogodę, obudziły śpiącą przez 50 lat naszą twórczość ludową, pieją jej na pogodę, to czy może być co piękniejszego?”

Zamieścił tu te koguty, niech obudzą śpiących na niwie kultury i twórczości ludowej.

JOZEF HERTEL

OTWARTA w lipcu w warszawskim Arsenale Wystawa Młodej Plastyki jest jedną z bardziej dyskusyjnych wystaw malarstwa, jakie mieliśmy po wojnie. Klimat artystyczny, ideowa wymowa poszczególnych dzieł, niewielka liczba prac tradycyjnych czynią z tej wystawy zjawisko nowe. Pokazane tu prace różnią się przy tym bardzo między sobą. Drogi, jakimi idą młodzi malarze z Wrocławia i Szczecina, Warszawy i Łodzi, Krakowa i Sopot, są odmienne w sposób zasadniczy. Odmienność ta polega nie tylko na formalnych sposobach wypowiedzania się. Tkwi ona u źródeł ich sztuki. Składają się na tę odmienność różne zasoby przeżyte zawarte w pracach, umiowanie różnych mistrzów przeszłości, zainteresowanie różnymi strunami ludzkiego życia, nawet różne pojmowanie zadań sztuki. Dużą rolę odegrało przy tym szczere wypowiadanie się twórców, dzięki czemu są na wystawie prace liryczne i dramatyczne, kameralne i dążące do monumentalności. Rozmaitość poszukiwań, jakie zdemontowała wystawa, świadczy, że mamy do czynienia z samodzielnymi i świadomie rozwijającym się młodym pokoleniem malarzy. Przemawia za tym i to, że spośród stu kilkudziesięciu prac mamy wyjątkowo mało obrazów będących nietwórczym przetrwaniem dzieł dawnych mistrzów. Podobnie nie ma mechanicznych odblasków malarstwa włoskiego czy meksykańskiego, czego można się było spodziewać oglądając niedawną wystawę konkursową w Zachęcie.

Jak mówiliśmy, wystawa jest nowa i różnorodna. Można się spierać, przed którą z reprezentowanych grup czy kierunków jest przyszłość. Ważniejsze jednak, że jest o co się na wystawie spierać, że pozwala ona wybierać spośród różnych kierunków i przeciwstawiać jedne obrazy drugim. To wydaje mi się pierwszą zaletą.

Drugim osiągnięciem wystawy jest jej ideowość. Stanowi ona wspólny mianownik dzieł, które poza tym często nie mają ze sobą nic wspólnego.

Są wprawdzie pląta, w których dają się wytopić ciagłki formalistyczne, są obrazy, których wyszukane zestawienia barw drąca estetyzowaniem

ALEKSANDER WALLIS

MŁODA PLASTYKA NA FESTIWALU

(np. „Martwa natura“ Sempolińskiego), lecz w ocenie przeważającej większości prac, w dyskusji nad ich błędami i osiągnięciami, formalizm jest problemem pomniejszym, niemal marginesowym.

Poszukiwania współczesnych treści ideowych spowodowały, że zgromadzona w Arsenale czołówka odwróciła się całkowicie od postimpresjonizmu, jako kierunku do tego nieprzydatnego. Nie odgrywa on też żadnej roli na wystawie. W konfrontacji z innymi obrazami zbyt pusta okazała się „Wieża dziesięciu“ Kunki. Radość żywych barw tego płótna szybko przestaje działać. Złazcza, gdy spostrzegamy, że w obrazie tym mamy tylko kolory i kształty. Trudno doszukać się w nich głębszych treści. Sama dekoracyjność nie wystarcza.

Są natomiast liczne pozycje, których ideowe poszukiwania wydają się jak najbardziej słuszne. „Głowa chłopca“ Mieczysława Lachura, która łączy urok dziecka z przeżywaną przez nie grozą wojny; „Don Kichot“ Barbary Jonscher, która snuje poetycką opowieść nad przeznaczeniem szalonego rycerza z La Manchy; dzieła w obrazach Hałasa i Cwenarowskiego — malarzy, których urzeka i dręczy dzieciństwo małych uliczników; martwa natura z motyką i pietruszkami Dziedziory, w której odbija się gorzkie bytowanie człowieka. Do tych prac można wracać raz po raz. Można w nich odnajdywać przeróżne myśli. Można się o nie kłócić. Mogą one widzowi odpowiadać lub nie, lecz obując z nimi musi się on ustosunkować do określonej ideologii dzieła, do refleksji społecznych, historycznych czy filozoficznych, jakie one niosą. Dlatego prace te są dla mnie pełnowartościowe. Pełnowartościowe swym ładunkiem ideowo-artystycznym.

Zespół najciekawszych kompozycji politycznych poświęcony jest grozie wojennej, mordom na bezbronnych. Są to obrazy Oberloendera, Zablockiego, Postępskiej, Celnikiera. Mamy obraz o śmierci Bellojanisa Kwaśniewskiej i akt murzyna o plecach pokrytych pręgami od razów. Akt jest pędzla Brykalskiego.

Większość tych kompozycji zrodziła się z wewnętrznej potrzeby artystów. To nie są prace na zadany temat, lecz dzieła, które powstałyby niezależnie od wystawy. Myślę zwłaszcza o „Napiętnowanych“ Oberloendera i „Getcie“ Celnikiera.

Nieważne są przy tym wyraźne zapożyczenia, które widać w płótnach Postępskiej i (Brykalskiego). Nawiazanie do akrobatów Picassa potrzebne było Brykalskiemu dla wypowiedzenia własnych przeżyć i tym jest całkowicie uzasadnione.

Wyjątkowo mało jest obrazów o tematyce „produkcyjnej“. Przeważają zdecydowanie portrety, pejzaże, i martwa natura. Słyszałem w związku z tym wiele uwag o jednostronności tematycznej wystawy, a także zarzuty, że wystawione prace nie odzwierciedlają ani nie afirmują życia Polski Ludowej. Co do jednostronności tematycznej — zgoda. Nie tyle na usprawiedliwienie jej, ile na wytłumaczenie, należy zauważyć, że jest ona wynikiem artystycznej uczuciowości i szczerości. Nie każdy artysta czuje się na siłach zdobywać nowe środki wyrazu artystycznego w pracy nad najtrudniejszymi tematami. Nie jest to sprawa błaha. Przypomnijmy chociażby Van Gogha, który sądził, że będzie potrzebował wielu lat pracy, by dojrzeć do podjęcia dużej, wielofigurnej kompozycji, o jakiej przez całe życie marzył.

Nie uważam natomiast, by przewaga portretów, martwych natur i pejzaży

świadczyła o ucieczce malarzy od życia Polski Ludowej, mimo, że obrazów o budowach, manifestacjach i posiedzeniach rzeczywiście na wystawie nie ma. Nie ma prac dobrych na ten temat, ani też prac złych. Nic z koloryzowania, płytkiej radości czy powierzchownego odmalowywania dorobku naszego ustroju wystawa nie pokazuje. To chwali się wystawie. Malarstwo może mówić o świecie nie tylko bezpośrednio — atmosferą pejzażu, charakterem martwej natury. Wiele obrazów mówi o naszym życiu i afirmuje je właśnie pośrednio.

Patrząc na „Kwiaty“ Gierowskiego czuję przyjemność z ich soczystych intensywnych barw. Podobna mi się „Zimowy pejzaż“ Strumiły i mam przekonanie, że młodego malarza Siennickiego. Przeżył, jakie wywołują we mnie te prace, z pewnością mieszczą się w pojęciu afirmacji. Nie jest to przy tym afirmacja zjawisk „ładnych“, „gładkich“ czy bezbrosko przyjemnych. Przyroda u Strumiły jest poetycka, lecz zarazem surowa i skąpa. Domy Siennickiego przemawiają do mnie twardością życia, jakie się w ich murach toczy. W stylizowanych kwiatach Gierowskiego podoba mi się coś jeszcze poza samym układem ornamentycznym, jakie tworzą. Czy mam dowodzić, że przeżył, że łączy się z wyobrażeniem o współczesności mojego kraju? Podobnie będzie z refleksjami, jakie nasuwają pismie malowane, duże, złociste cebule Oberloendera, wysypiane na samotny stół. Barczysty drab o czerwonej twarzy z obrazu Dziedziory jest niemal skulony nad swą miską strawy. Na stole przy nim leży skrawek noża i ciasteczka chleba. „Warszawskie gołębie“ Teresy Mellerowicz na placu przed zburzonym Zamkiem są melancholijne. Czy temat i treść obu płócien nie wiążą się z historią naszych przeżyć?

Każdy z okręgów artystycznych biorących udział w wystawie ma swoje oblicze. Najmocniej i najciekawiej, w moim przekonaniu, wypadły Warszawa i Wrocław. Jedno było do przewidzenia, drugie stanowi niespodziankę. Poniżej o wszystkich ośrodkach trudno jest za jednym zamachem napisać,



Przemysław Brykalski: Akt.

chciałbym poświęcić kilka słów malarzom wrocławskim i łódzkim.

Z Wrocławia przyjechała na wystawę „Kocia góra“ Mazurkiewicz, jedna z nielicznych prac nawiązująca do fantazji ludowej i do sentymentu dla domów i wień Nikiłora. Z tego środowiska pochodzą także nieduże, wrażliwe na kolor widoki miejskie Hałasa, lapidarny „Portret młodego górnika“ i poetycki „Chłop z zabawkami“, duża kompozycja nie żyjącego już dziś malarza Cwenarowskiego pt. „Pożoga“, z rozszalałymi końmi na pierwszym planie. Omawiany zespół prac łączy silne pokrewieństwo. Jako pierwszą nasuwa się uwaga, że autorzy tych dzieł mają w malarstwie coś swego do powiedzenia. Gdyby zebrali ich obrazy w jednej sali zobaczylibyśmy, że mówią one o tym samym ludzkim świecie, którego życie jest trudne, przebiega szybko i intensywnie, który potrafi pracować, cieszyć się i marzyć.

Wystawa świadczy o tym, że łódzkie środowisko młodych twórców jest słabe. Jedyne Głowacki, Kunka i Strumiły w malarstwie, a w grafice Kondek zwracają na siebie uwagę na wystawie.

Głowacki znalazł już swój styl, polegający na pełnym wdzięku oddawanym materialności martwych natur, na pewnym, sztucznym zresztą sposobie aranżowania kompozycji wielofigurality. Prace, jakie ostatnio wystawił, a więc „Miłość“ na festiwalowej wystawie konkursowej i „Martwa natura“ w Arsenale, budzą we mnie coraz więcej wątpliwości co do jego aktualnych dążeń artystycznych. Widzę w nich manierę, a co gorsze, zadowolenie malarza z osiągniętych rezultatów. Z martwymi naturami jeszcze pół biedy. Są one coraz bardziej do siebie podobne, lecz malowane konsekwentnie, w oparciu o solidny warsztat artystyczny.

Z kompozycjami jest natomiast coraz gorzej. Postacie są sztuczne, malowane z pamięci, maszynowością i ciężarem rozsądzałyby zwykłe ramy obrazu, tłoczą się. Zakomponowanie figur jest zbyt mało przemysłowe. W „Miłości“ artysta zagrabił cały pokój różnymi przedmiotami, które mają najwyraźniej spełniać rolę symbolów, co czynią natrętne i złe. Jest tam i wiołoneczka (muzyka, miłość), i kwiaty (radość), i czapka studencka (młodość) i inne jeszcze akcesoria. Wszystkie przedmioty malowane są z jednakową uwagą, bez hierarchizowania poszczególnych przedmiotów. Wskutek tego nogawka spodni bohatera przyciąga bardziej uwagę niż jego twarz, jako że jest od niej jaśniejsza. Nie dostrzegam w tej pracy ambicji artystycznych. Są w niej natomiast ambicje inne — namalowania „miłości“ w ustroju demokracji ludowej. Słowem chodziło o temat aktualny, wzięty, dobrze widziany. I namalował go Głowacki, jakby wedle recepty, powtarzając wszystkie swe dotychczasowe osiągnięcia i błędy.

Chcielibyśmy widzieć przyszłe obrazy Głowackiego wyzwolone z manieri, która go opanowała i krępuje jego niewątpliwą talent.

O obrazie Kunki nie potrafię do poprzednich dwóch zdań wiele dodać. Praca ta stanowi fragment kilkuletnich samotnych trudów artysty, kiedy jego obrazy nie były wystawiane. Trudno w oparciu o jedno, bardzo odrębne płótno rozstrzygnąć o jego twórczości. Należy umożliwić autorowi „Wielkiej dziewczyny“ urządzenie wystawy indywidualnej, która by stanowiła pełniejszą podstawę dla oceny jego wysiłków.

„Portret podwójny“ Strumiły stanowi dla mnie zamknięcie cyklu, do którego zaliczam obrazy „Za prawo do pracy“, „Tej broni nie zwycięży nikt“ i „Nasza ziemia“. Zamknięcie zarówno tematyczne, jak artystyczne. „Portret podwójny“ powtarza osiągnięcia poprzedniego obrazu Strumiły, bez błędów rysunkowych, „Naszej ziemi“ i bez jej dramatyzmu.

Obraz ten konsekwentnie kontynuuje zawarte w poprzednich kompozycjach dążenie do monumentalności, epickiej narracji, poetyckiego nastroju, do społecznej, obyczajowej charakterystyki bohaterów, do powiązania ich z krajem ojczystym. Jest w nim ponadto tendencja do pokazania świata uspokojonego. „Podwójny portret“ ma dużą siłę oddziaływania, która nie maleje po kilkakrotnym obejrzeniu obrazu, zawiera w sobie dużo wiedzy malarskiej, lecz nie jest, jak „Za prawo do

ROMAN ZREBOWICZ

Zboro



Modigliani: Portret L. Zborowskiego

JEST w dzielnicy paryskiej Montparnasse zaciszna i urocza ulica Joseph Bara, opiewana niejednokrotnie przez pisarzy francuskich. Uliczka liczy zaledwie 9 numerów i sąsiaduje z przepiękną Aleją de l'Observatoire, z której można przejść do Ogrodu Luksemburskiego i Dzielnicy Łacińskiej. Przy tej uliczce pod nr-em 3-cim mieszkał dwadzieścia lat temu poeta polski Leopold Zborowski, głosił swego czasu reżyser nowoczesnej poety francuskiej, znany powszechnie w artystycznym świecie jako „Zboro“.

Oryginalna postać Zborowskiego była w Polsce prawie nieznana. Natomiast w Paryżu cieszyła się niezwykłą popularnością. Znalazła go cała czerpania na Montparnasse, której często Zboro udzielał bezwarunkowych pożyczek. Znalazł go sterczo kół artystów, pisarzy, kolekcjonerów, wielkich międzynarodowych antykwariarzy, filmowców, muzeologów, reżyserów teatralnych itp.

Jako przyjaciel i doradca artystyczny Zborowski, miałem możliwość poznać gruntownie zarówno jego charakter, jak i jego cygański tryb życia. Zborowski łączył w sobie szereg na pozór wykluczających się cech charakteru: pewne rysy księcia Myszkina z powieści Dostojewskiego sąsiadowały z fonytym Marat'a, a przy wybitnych zdolnościach handlowych — Zboro, jak Balzac marzył o kopalniach srebra i złota, o „rozbiściu“ banku w Monte Carlo. Obok uwielbienia dla sztuki i literatury klasycznej — Zborowski żył ramieniem przywiązane do prądów skrajnie rewolucyjnych.

Był zwolennikiem komunizmu. Swemu szoferowi, który wydawał i redagował ulotne pismo komunistyczne, pomagał materialnie, opłacając niejednokrotnie papier i drukarnię. Jeden z najcenniejszych obrazów Modiglianiego ofiarował Związkowi Radzieckiemu. Zborowski cieszył się nie tylko międzynarodową popularnością, ale także międzynarodową sympatią i życzliwością. Iż na ten temat wdzięcznych wspomnień mogłoby opowiedzieć znani pisarze, jak: Ilija Erenburg, Aragon, Eluard,

Carco, który w swych książkach nieraz wspomina Zborowskiego, zamordowani przez gestapo poeci Max Jacob i R. Desnos, historycy i krytycy sztuki jak Lionello Venturi, Elie Faure, A. Salmon, B. Dorival, a dalej J. Cocteau, R. Dorgeles, F. Sou-pault itd. To samo dotyczy wielkiej liczby malarzy, częściowo zmarłych, częściowo zaś do dziś dnia żyjących. Dość wymienić tylko najwybitniejszych, jak np.: Modigliani, Soutine, Utrillo, Derain, Braque, Picasso, Marquet, Leger, Kisling itd.

Krótko po pierwszej wojnie światowej Zborowski otworzył galerię obrazów na rue de Seine. Galerię urządzono w dużej sali parterowej i w dwóch salach na I-szym piętrze. Lokal miał piękną tradycję. W XVIII w. mieściła się tam kawiarnia, której stolami bywałyśmy byli encyklopedyści francuscy, a przede wszystkim Voltaire. Galeria wystąpiła z dwiema rewolucjami — Modiglianem i Soutinem. Na tym tle niebawem zdobyła sobie autorytet w odkrywaniu i lansowaniu nowych, oryginalnych talentów.

Modiglianego poznał w 1912 r. w kawiarni de la Rotonde. Złp podówczas w skrajnej nędzy i robił za pół franka na małych ciastkach papieru ołówkowe portrety przygodnych turystów, wciągających się po lokalach Montparnasse'u. (Ostatnio za jeden z takich szkiców ołówkowych na licytacji w galerii Charpentier zapłacono ni mniej ni więcej tylko 300.000 fr.). Spędziłem z artystą nie jedną godzinę na dyskusjach o sztuce. Modigliani go powszechnie w skrócie nazywano, przepadał szczególnie za prymitywami malarstwa sienneńskiego; Andrea Vanni, Lippo Memmi, Verocchio Sassetta, a przede wszystkim Ambrogio Lorezetti i Simone Martini — oto najbardziej umiłowani przez Modiglianego mistrzowie Sieny, i nie gdzie indziej tylko wśród nich należy szukać źródeł specyficznego stylu i wdzięku, jakim tchną jego obrazy. W czasie pierwszej wojny światowej chorzył i mocno przealkoholizowany Modiglianem zapoikał się Zborowski. Niestety, gruźlica i absynt wykończyły rychło wyczerpany organizm artysty. W styczniu 1920 r. Modigliani umiera, w 36-tym roku życia. Najbliżsi przyjaciele, jak Zborowski, Kisling, i A. Salmon uccili go wspólnym pogrebeniem.

Krytyka zachodnia określiła Modiglianego jako największego portrecistę XX w. Gdy w 1929 r. znany przemysłowiec włoski i przeciwnik Mussoliniego, Riccardo Guadino, zapłacił za autotyp Modiglianego trzysta kilkadziesiąt tysięcy franków przedwojennych, wartość płócien artysty zaczęła rosnąć. Obecnie cena jego obrazów przekracza trzy miliony franków; a trzeba pamiętać, że sam artysta sprzedawał swe płótna po 20 fr.

Drugim talentem zawdzięczającym galerii Zborowskiego swój światowy rozgłos jest Ch. Soutine. Urodzony w Białoruskiej wsi, niedaleko Mińska, po odbyciu pierwszych studiów malarskich w Wilnie, przybył do Paryża w 1913 r. Przez pewien czas żył z okolicznych nędzy Modiglianego, który początkowo dzielił się z nim dosłownie ostatnim kęsem chleba. Zborowski pierwszy poznał się na wspaniałym talencie Soutina i odczył go specjalną opieką. Kariera Soutina zaczęła się w momencie, gdy jeden z pierwszych twórców muzeów sztuki nowoczesnej, dr Albert Barnes, zakupił u Zborowskiego kilkadziesiąt obrazów artysty dla ufundowanej przez siebie galerii w Merion pod Filadelfią. Drugim momentem kariery Soutina był duży obraz olejny pt. „Boeuf corche“ (Wół odart z skóry). Miałem sposobność obserwować proces powstawania tej kompozycji. Przez trzy miesiące artysta obcował z rozpalanym wołem wśród ohydnych fetorów. Malował niemal w mialgine. Porwał się ustawicznie z kordinami ściekającej krwi i z chromami rozkładającego się tu-

szczy. Z dnia na dzień wnętrze rozpalanego wołu ulegało kolorystycznym zmianom, które zmuszały artystę do ciągłych korekt i uzupełnień. Wreszcie obraz został ukończony, budząc ogólny zachwyt swoją niezwykłą eksplozją barw. Na tle zaledwie znaczących szczytów alpejskich widła dramatycznej „martwej natury“ — rozpięty na firmamencie rozpalany wół, wielka tragedia wołu, wyrażona opętaną dynamiką barw. Podczas okupacji niemieckiej Soutine ukrył się w jednej z prowincjonalnych miejscowości francuskich i tam w silie wieku i rozwoju życie zakończył.

Zborowski, jak już wspomnieliśmy, cieszył się wyjątkową popularnością. Korespondenci głośniejszych organów światowych, mieszkający stale w Paryżu, poświęcali mu często artykuły podkreślające jego zasługi położone na polu odkrywania i lansowania nowych talentów malarskich. Zborowski może najmniej był znany w swoim kraju rodzinnym. Pisarze reakcyjni, jak np. Kaden Bandrowski, narzucali go snobistycznym handlarzom obrazów (por. „Europa zbiera srebro“). Oczywiście nie odpowiadało to prawdzie. Antykwaryści paryscy, spekulujący na obrazach tak jak się spekuluje na kaucezku czy bawelnie, nazywali Zborowskiego raczej marzycielem, fantastą, niż handlarzem obrazów. Zborowski kochał malarstwo fanatycznie i posiadał wyjątkowy zmysł w odkrywaniu nowych talentów. A gdy w jakiejś nędznej mansardzie odgrzebał oryginalnego artystę, wówczas nie szczędził kosztów, zabiegów, opieki materialnej i moralnej. Ratował, pomagał, wydobywał z opresji, inspirował krytyków, lansował — a przede wszystkim płacił i płacił, byle tylko odkrył talent doprowadzić do pełni rozgłosu i sławy. Dla tych celów Zborowski poświęcał wszystko — czas, zdrowie i grosz ostatni. Iż to artystów zawdzięczało swoją egzystencję i karierę Zborowskiemu. Iż z nich pobierało przez kilkanaście lat gaź miesięczną od

3000 do 25000 fr. przedwojennych, by pewnego dnia zdradzić swego opiekuna i przejść na etat polejniejszych handlarzy z ul. Boetie. Mecenat Zborowskiego nie ograniczał się do samych malarzy. Pomagał poetom, artystom filmowym, bezdomnym i bezrobotnym Polakom, subwencjonował efemeryczne pisma poświęcone sztuce i literaturze — wreszcie liczny artystom z Montparnassu, będącym w ustawicznych kłopotach materialnych, otwierał kredyt w sklepach, restauracjach, szpitalach, sanatoriach itp. Tak uniwersalnie pojęta filantropia, przy coraz bardziej kurczących się dochodach i wprost paradoksalnym altruizmie, musiała się dla Zborowskiego zakończyć katastrofą. Resztę dopełniły wstrząsające długi, kompletne wyczerpanie nerwowe i ciężka choroba serca. Agonia Zborowskiego trwała kilkanaście miesięcy przy akompaniowaniu atakujących go wierzycieli, którzy zawdzięczali mu swe milionowe fortuny. Wielcy handlarze z prawego brzegu Sekwany usilowali, przy pomocy przekupnych „krytyków“ i dziennikarzy wydrzeć mu z rąk pierwszy zasługujący odkrycia takich talentów, jak Modigliani i Soutine. Los nie oszczędził Zborowskiego ani jednej gorzkiej próby. W ostatnich miesiącach życia wegetował dość wnie bez franka. Znalazł się tylko jeden człowiek, który pośpieszył z pomocą; był to niedawno zmarły malarz francuski, Andre Derain.

Zasługi Zborowskiego na polu wzbogacenia i popularyzacji nowoczesnej palety malarskiej były niepospolite. Pomijając jego filantropię, dzięki której kilkadziesiąt artystów zdołało się rozwinąć i osiągnąć pewien stopień doskonałości — anonimowy ten reżyser malarstwa nowoczesnego odkrył Modiglianego, Soutina, Eibischa, Fourniera, Per Krogha, Ortisa, Clairaina, Heydena, dwignął Zadkina i Pasquina, podtrzymał Utrilla i Kislinga itd. itd.

ROMAN ZREBOWICZ

Nowości wydawnicze

Gustaw Morcinek — Z mojej ziemi — Wydawnictwo „Słask“, Stalinogród, r. 1955.

Zbiór wybranych szkiców, felietonów, reportaży, utrzymanych w serdecznym gawędziarskim tonie. Książka dzieli się na kilka cykli: są w niej wyznania z warsztatu pisarskiego, wrażenia z podróży do Związku Radzieckiego i NRD, nade wszystko zaś cykl tytułowy „Z mojej ziemi“, mówiący o miłości i przywiązaniu autora do Śląska. Szkice i felietony Gustawa Morcinka czyta się z prawdziwą przyjemnością.

Wilhelm Szewczyk — Z wami, przyjaciele — Wydawnictwo „Słask“, Stalinogród, r. 1955. Książka pokrewna publikacji Morcinka, bo również złożona z obfitego wyboru artykułów publicystycznych, jednakże w treści swej i ujęciu odmienna. Szewczyka zajmują przede wszystkim problemy kultury niemieckiej i to zarówno po tej, jak i po tamtej stronie Łaby, przy czym autor nie stroni od spraw politycznych i społecznych, wykazując wielostronne zainteresowania. Osobny dział stanowią reportaże z licznych podróży pisarza po Olszeczynie.

Książka zaleca się dobrą, bo rzeczową i gruntowną informacją w zakresie problemów niemieckich.

Marceli Raniecki — Z dziejów literatury niemieckiej — „Wiedza powszechna“, Warszawa, r. 1955.

Jest to właściwie jedyna po wojnie publikacja, próbująca w krótkim, syntetycznym ujęciu przedstawić dzieje ostatnich kilkudziesięciu lat literatury niemieckiej (1871—1954). Przejrzysty układ rozdziałów i prosty tok wykładu czynią tę publikację dostępną dla każdego. Autor nie stawiał so-

bie wysokich wymagań krytyczno-literackich. Napisał rzecz popularną, która zapewne dobrze wypełni swe informacyjne cele.

Hermann Hesse — Pod kołami — Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, r. 1955. Przełożona po raz pierwszy na język polski, jedna z wcześniejszych powieści laureata Nobla (r. 1946), oddająca przeżycia chłopca, Hansa Giebenratha, w niemieckim seminarium teologicznym w Maulbronn. Hesse podaje krytycznej ocenie stosunki i atmosferę panującą w szkołach klasztornych w końcowych latach ubiegłego wieku. Jest to w pewnej mierze powieść autobiograficzna, jak bowiem wiadomo, autor uczestniczył w swej młodości do tego samego seminarium. Przekład Edyty Sielickiej, poza drobnymi wątpliwościami (np. „ojciec za-włókił go do kilku znajomych i przyjaciół“) na ogół bardzo dobry.

Henryk Markiewicz — Krytyka literacka w walce o realizm socjalistyczny 1944—1954 — Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, r. 1955.

Cenna książeczka Markiewicza, wydana w cyklu „Studiów nad polską literaturą współczesną“, porządkuje i ocenia sytuację naszej krytyki na przestrzeni dziesięciolecia, począwszy od pierwszych wystąpień krytycznych Wazyka i Jastruna w Nubelskim „Odrodzeniu“ a skończywszy na wielkich dyskusjach literackich ubiegłego roku. Markiewicz stwierdza w końcowych wnioskach, iż stan naszej krytyki, aczkolwiek jeszcze niezadowolający, poprawia się stale i w tej chwili możemy już poczyścić się sporą kadrami młodych, utalentowanych krytyków.

ker.

(Dokończenie na str. 7)

ZAPROSZONO mnie do Wydziału Oświaty i pokazano sporą stertę zażeń na nauczycieli. Czego tam nie było! Dziesiątki różnych podań, zażeń, spraw na ogół znanych, ale wypowiedzianych w rozmaitym tonie, w zależności od stopnia poczucia krzywdy czy temperamentu piszącego. Była więc mowa o niesprawiedliwych nauczycielach, opisywano wypadki pobicia uczniów, żalono się nieraz, że szkoła staje się powodem rozdziału między uczniem a domem rodzinnym itd. itd.

Każda tego rodzaju sprawa została skrupulatnie zbadaana, powołane w tym celu komisje przeprowadziły gruntowne wywiady, petyncje otrzymywali wyczerpujące wyjaśnienia. Można to wszystko obejrzeć, poznać. Od strony formalnej wszystko więc w porządku, tym bardziej że tam, gdzie istotnie zawinilo niedoświadczanie nauczyciela czy pochopny sąd zainteresowanego rodzica, udzielono odpowiednich wskazówek. Jednym słowem „wyciągnięto wnioski”.

Studującemu jednak te materiały nie wolno było poprzestać na takim optymizmie. Mimo wszystko sprawa nie jest tak prosta i nie kończy się na udzieleniu odpowiedzi petentowi. Zdarzyły się też zażalenia, które nie miały swojego nadawcy. Piszący nie śmiał, czy nie chciał się ujawnić.

Te zażalenia są kierowane wszędzie: do Ministerstwa Oświaty, do PRN, do Komitetu PZPR. Jak uderzać, to na odlew! „Zaniepokojeni stosunkami panującymi w szkole...”. Po tym niepokojącym wstępie następuje gorąca filipika przeciwko kierownikom szkoły, „która pod płaszczykiem PZPR uprawia wroga działalność...”. Na czym ta wroga działalność ma polegać, tego autorzy listu, krzyczący się pod kryptogramem „zmartwieni rodzice”, wyraźnie nie przeczuja. W każdym razie jest tam szereg zarzutów, z których wynika, że kierowniczka szkoły („w szkole tej co rok zmienia się kierownik, a co jeden to gorszy”) i niektórzy na-

SPRAWA, o której chcę pisać wydać się może obecnie — w okresie pojawiających się tu i ówdzie teoryjek „immanentnego zła socjalizmu” — cokolwiek drażliwą i — jak to się mówi — „cienką”; nie sądzę przecież, aby obawy te były istotne.

Pisano już nieraz o tym, że gdy rozwijający się wśród nauczycielstwa ruch współzawodnictwa pracy doznał pewnych, usuniętych już dzisiaj, wypadków i gdy nauczyciele musieli wypełniać martwo i sztywno pojmowane „normy przepustowości” z klasy do klasy — znaleźli się tacy spryciarze pośród młodzieży, którzy zorientowali się w sytuacji zaczęli „bimbać” sobie naukę.

— Co się łamać — powiedział taki rozkoszniczek — nie może mnie oblać, bo beknie za to w Wydziale Oświaty. Ot, pójdę lepiej do kina, a do klasówek niech się sztykują kujony.

No i szedł do kina zostawiając klasówkę „Kujonom”, a na nauczyciela uprawiając — tak, tak, nie tudźmy się — pospolity szantaż.

Nie pisano bodajże o tym — a rzecz godna jest szczególnego artykułu — że gdy II Zjazd ZMP postawił z całą siłą sprawę wychowania młodzieży, wystrzegania się pochopnie przyklejanych „etykietek” i „wykańczania” — znaleźli się tacy, którzy uznali, że istniejąca sytuacja zapewnia im bezkarność.

Przyjrzyjmy się bliżej sprawie na opowiedzianym mi i uproszt klinicznie jaskrawym wypadku.

Do pewnego niewielkiego zakładu pracy przyjęto młodszą praktykantkę. Po pew-

Opinie i fakty

KRZYWDA DZIECKA

uczyciele, to przede wszystkim ludzie przekupni, załatwiający na spółkę z komitetem rodzicielskim różne podejrzone transakcje, kombinacje z prezentami, ludzkie udające tylko postępowych itp. Słowem, jak wykazało skrupulatne dochodzenie, „ubrał się diabeł w komżę i na mszę dzwoni”. Wszystko było właśnie na opak. I szkoła dobrze prowadzona, i współpraca z komitetem wzorowa, i nauczyciele — ci, o których chodziło — rzetelni aktywiści.

Te skargi zwracają się zresztą nie tylko przeciw nauczycielom, ale i uczniom. Czytatem takie wypracowanie, w którym żąda się, aby usunąć ze szkoły jednego ucznia, ponieważ „przeszkadza innym w nauce, bije się” itp. Zdarzyło się, iż to był chłopak rzeczywiście żywy, z temperamentem. Ale aktywny, lubiany przez kolegów, zetemowiec — i to było solą w oku anonimowego oskarżyciela.

O co rzecz idzie? O wywołanie zamieszania? To się często udaje. Słabszych nawet zalamuje. Lecz co jest bardziej niepokojące w tej akcji?

Nie w anonimowości, rzecz prosta, leży tu istota zagadnienia. Te wszystkie zwyczajne i niezwyczajne historie, niejednokrotnie podsuwające temat do frapującego opowiadania, noweli czy nawet powieści, rzeczywiście odślaniały trudności wychowawcze szkoły i domu; lecz szły jeszcze dalej: ukazywały niejednokrotnie rozdźwięk między szkołą a domem; między moralnością przebrzmiałą, moralnością posiadaczy, a nową, socjalistyczną; między koncepcją wychowania tradycyjnego, mieszczańskiego, a wszystkim tym, co niesie postępowa szkoła.

O PEWNEJ FORMIE SZANTAŻU

nym czasie zauważono powtarzające się kradzieże drobnych sum pieniędzy, aż wreszcie przypalano dziewczynę na gorącym uczynku. Zwołano tedy zebranie kierownictwa, na którym stanęło pytanie — co robić? Usunąć z pracy — taką młodą, żal jej, a zresztą trzeba wychowywać. Oddać do prokuratora — żal jej, trzeba wychowywać. No więc wychowywać — ale jak? Rada w radę, zostawiono dziewczynę własnemu losowi i tylko kierownik postanowił ją nastraszyć. Wzywa ją tedy i powiada — tak, a tak — powinniśmy ciebie usunąć z pracy.

A ona na to — uważajcie: Jak to „usunąć”? Kto się o mnie zatroszczył, gdy przyszedł do was? Nikt! Kto mnie wychowywał? Nikt! Teraz chcecie usuwać — a zaopiekować się mnie iaskat!

Przejąskrawiam może, a może też i przejąskrawił mój rozmówca. Pewne jest jednak, że: po pierwsze — bardzo często prokuratora uważa się za jakąś zupełną „ostatnie ostateczność” i zapomina, że sądownictwo spełnia także funkcję wychowawczą; po drugie — nierazdomo uważa się, że straszenie prokuratorem lub usunięcie z pracy, to są właśnie cenne środki „wychowawcze”. W wypadku, o którym mówimy, nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na dziewczynę, dopóki nie kradła, wszyscy natomiast w jednym punkcie byli zgodni — wychowywanie to tyle samo co bezkarność. W rezultacie wystąpienie praktykantki, będące

Najgorsza jest właśnie — coraz rzadsza na szczęście — instytucja jawnej zradcy, zakłamania, jakie przedstawił Skowroński w „Mortuistach”, rysując atmosferę w domu przewodniczącego Komitetu Rodzicielskiego. Tam najczęściej nie dotrze ani sąd, a i często opinia jest sfalszowana. Tu znajduje się wylegarnia wszelkiego zła, obudy, napadci. Stąd pochodzą te anonimowe, które zarzucają niektórym nauczycielom dwulicowość i oczerniają znanych nauczycieli-społeczników.

Te wszystkie zażalenia i skargi świadczą najdobitniej o tym, że i teren szkoły nie jest — jak chcieliby niektórzy — odizolowany od życia. Tu również przebiega życie, bezpardonowa walka klasowa. Wydaje się, że wspomoc tę walkę może ściślejsza niż dotychczas współpraca komitetów rodzicielskich i komitetów opiekujących ze szkołą, jak tego przykład wyczytałem w odpowiedzi na jedno z zażeń. Chodziło o Zakłady im. Strzelczyka w Łodzi, gdzie Rada Zakładowa zobowiązała się otoczyć opieką rodzinną zainteresowanego obywatela, a na niego samego wpłynąć, żeby zmienił postępowanie, żeby wreszcie zrozumiał, jaką krzywdę wyrządza sobie i własnemu dziecku, świadomie czy nieświadomie opowiadając się po stronie wroga.

Jaką postawę zajmie dziecko wychowywane w takiej zatrutej atmosferze? Nauki moralne ojca żerują wewnątrz duszy dziecka, jak larwy ploniarzy zbożówki, które wjadają od wewnątrz środkowy liść, sercowym nazywany. No, i roślina nie rośnie już, a często usycha.

Zaszczył to nie mały dla autora kłamliwych anonimów i hodowcy zatrutej atmosfery domowej — być porównanym do owych żarłocznych much. Tamte przynajmniej niszczą cudze. Ten żeruje na własnym!

TADEUSZ PAPIER

zamaskowanym szantażem, trafiło na podatny grunt.

Przykłady takie mógłbym mnożyć. Mogłbym opowiedzieć wam o młodym nauczycielu, który puszczając mimo uszu, a niekiedy i obraźliwie odpowiadając na uwagi starszych kolegów, potrafił potem zastanówić się przed zarzutami przedstawiciela Wydziału Oświaty oświadczeniem: — Tak, lekcja wypadła słabo i z wynikami nauczania u mnie niewielkie, ale kto mi ze starszych nauczycieli pomógł, kto mnie wychowywał? I podobno — aż dziw w to uwierzyć — przedstawiciel Wydziału Oświaty dał się nabrać na to oświadczenie (czytaj: szantaż).

Mógłbym — jak powiedziałam — mnożyć przykłady, ale nie wydaje mi się to konieczne. Wniosek nasuwa się sam pod piórno: — jeżeli najstuszejście hasła i tendencje wykorzystywane są przez pewne jednostki jako parawan dla ich marnych interesów (dodajmy: i jeżeli dzieje się to dostatecznie często, aby zjawisko zyskało rangę społeczną), znaczy to po prostu, iż owe hasła i tendencje pojmujemy niejednokrotnie nadzbyt ciasno i stosujemy nadzbyt mechanicznie, co w konsekwencji musi prowadzić do bezradności w rozszyfrowywaniu wspomnianych manewrów ochronnych. A jeszcze prościej: wniosek ten sformułować można tak: — niezrozumienie istotnych treści wysuwanych hasel wychowawczych prowadzi i musi prowadzić do wypaczeń. I tak długo, dopóki treści tych wyczerpiemy i w pełni nie przyswoimy, sprawa szantażu stoi, moim zdaniem, na porządku dziennym. Być może na końcu tego porządku, ale przecież stoi.

JERZY PANASEWICZ

Przypominają mi się słowa pisarza: „Mam też nadzieję, iż Rzeczpospolita chociaż o dzieciach moich będzie pamiętała.”

* * *

Na lewo wzgórze porośnięte młodym lasem. Na prawo wzgórze porośnięte starym lasem. z tyłu — od matowego nieba opada szaro-zielona płaszczyzna pól.

Pośrodku setka zagród rzucona wzdłuż kolejnej drogi niczym porwany naszyjnik. W samym środku — chałupka taka jak inne, niewielka i stara, od pozostałych różna jedynie tabliczką.

Na tabliczce napis: „Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Oblegorku”.

Siedzi wokół stołu. Jarząbek dobrze pamięta Sienkiewicza, snuje wspomnienia. Wsłuchuje się w monotonny głos starego chłopca i zwolna przed oczyma jawią się obrazy.

„Trawy puściły się bujno. A wszędzie pełno wesołości i głosów wiosennych, krzyków, świergotu, pogwizdywań, klaskan, trzepotania skrzydeł, radosnego brzęczenia owadów. Nad głowami jastrzębie, tkwiące nieruchomo w blękicie, na kształt pozawieszanych krzyżyków, trójkąty dzikich gęsi, sznury żurawiane — na ziemi jeno trawy szumią, jeno kwiaty migocą! Znowu słychać tylko granie ptaectwa. Niby wesoło a jak śmutek wśród tej radości, niby gwarno — a pusto — o! a szeroko, a przestronno, koniem nie zgonić, myślą nie zgonić... Ranek był. Wielkie krople błyszczały na trawach i zaroślach. rzeźwe powiewy wiatru suszyły ziemię, na której po deszczach stały szerokie kałuże, jakby jeziora rozlane, w słońcu świecące”.

Takiego właśnie dnia zbliżała się do Oblegorka karetka, wioząca Henryka Sienkiewicza. Na skraju oblegorskich pól czekała już konna banderia. Z boku, obok figurki, stał stary Drogosz. W rękę trzymał tacę, na niej chleb i sól. Karetka podjeżdża, pisarz wysiada — i na progu ziemi ofiarowanej mu

Notatnik kulturalny

Placówka urodzona w bólach

Dom Kultury Nauczycieli w Łodzi został uruchomiony pół roku temu w pięknych salach, należących niegdyś do rektora bawelnianego — Kindermanna, jako trzecia tego rodzaju placówka w kraju.

Dziś spojrzeć można na jej działalność z półrocznej perspektywy czasu. W tym krótkim czasie w salach DKN, a więc w czyteln, bibliotece, salach odczytowej, imprezowej i sali gier stołkowych, obecnych było około 13 tysięcy nauczycieli. Tu rozwija się amatorski ruch artystyczny wśród nauczycielstwa w zespołach: chóralnym, tanecznym i recytatorskim.

Odbywają się wieczory towarzyskie, spotkania z literatami, dyskusje nad książkami, dyskusje o sytuacji związkowej, występy artystów, konkursy recytatorskie, wystawy samorodnej twórczości artystycznej nauczycieli.

W okresie zimowym wyświetlane były filmy fabularne, odbywały się wieczory bajek dla dzieci członków ZZNP. Niesłabnącym powodzeniem cieszy się kącik fotografamatora, jak twierdzą niektórzy, dla wielu nauczycieli jedyny własny „kącik”.

Biblioteka DKN licząca ponad 4 tysiące tomów nie świeci pustkami pók jedynakatego, że Zarząd Główny ZZNP przeznaczył dość znaczne fundusze na zakup nowych książek.

Dom Kultury Nauczycieli w Łodzi rozwinięte jeszcze większą działalność w nowym roku szkolnym, np. niestosowana dotąd forma pracy — cykl odczytów z dziedzin pedagogiki rodziców przeznaczony dla członków Szkolnych Komitetów Rodzicielskich. Wyświetlane będą również systematycznie filmy oświatowe związane z programem nauczania. Powstanie nauczycielskie Koło Sportowe, rozwija się istniejące już Zespoły Artystyczne. Niewątpliwie szeroka fala napływu do Domu Kultury Nauczycieli tegoroczni absolwenci Liceów Pedagogicznych oraz absolwenci Wyższej Szkoły Pedagogicznej.

Miniony rok szkolny nie był sprzyjający dla rozwoju szerokiego ruchu kulturalnego wśród nauczycielstwa. Świadczy o tym chociażby wypowiedź jednego z nauczycieli, który na zebraniu związkowym powiedział: „Daliście nam Dom Kultury, dajcie nam trochę wolnego czasu, abyśmy mogli z niego korzystać”, świadczą żartobliwe powiedzenia: „Czy wierzyliś w życie pozazebraniowe”.

Nowe zarządzenia Ministra Oświaty o odcienieniu nauczyciela, to jak gdyby woda na kulturalny młyn. Będą wreszcie istniały warunki, aby kwitło „życie pozazebraniowe” wypełnione samorodną twórczością artystyczną, literaturą, dyskusjami (nie tymi z porządku dziennego), sztuką, filmem, piosenką i tańcem. Duże są ambicje, plany śmiałe. A już najśmielsze marzenia Domu Kultury, to te, że dostrzeże go wreszcie wśród innych placówek KO Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi. Właściwie wszystkie Wydziały RN dotrążyły go dawno, z wyjątkiem jednego... Wydziału KULTURY.

Spór o uniwersytety

Prowadzenie badań naukowych, kształcenie pracowników nauki i sprawy szkolnictwa wyższego, a zwłaszcza uniwersytetów, stają się przedmiotem zainteresowania nie tylko rządów i kół bezpośrednio z nauką związanych, lecz opinii publicznej narodów. Jest to zjawisko zupełnie zrozumiałe. Wprawdzie dalekie jeszcze do zrealizowania ideałów różnych „utopii” oddających rządy w ręce uczonych, ale otwierające się perspektywy epoki wykorzystania energii atomowej dostatecznie wyraźnie pokazują decydującą rolę nauki w rozwoju przyszłego społeczeństwa. Dlatego interesując się sprawami rozwoju nauki, społeczeństwa interesują się możliwościami własnego rozwoju w przyszłości.

Ostatnie „Les Lettres Francaises” publikują wypowiedzi szeregu wybitnych profesorów i pracowników nauki w związku z projektem reformy szkolnictwa we Francji. Wypowiedzi te, które zbiera i publikuje Yves Benot, dotyczą wielu spraw nie tylko

pozwolanie na nowe sąsiedztwo... Jarząbek mówi teraz o życiu codziennym Sienkiewicza. Poznajemy porządek dnia pisarza, prosty, nieskomplikowany. Jego niechęć do gości, zwłaszcza tych którzy przyjeżdżali po to jedynie, aby później powiedzieć: byłem u Sienkiewicza w Oblegorku. Dowiadujemy się o długich nieraz rozmowach z lokalnymi chłopami.

Prosto, sielsko, anielsko płynęło życie wielkiemu powieściopisarzowi. Ale do chwili gdy... Przez błota jesieni, rozmołte drogi i złamane mosty nadszedł front. Ostatnie sennie kozaków ciągnęły bokiem szosy, tuż obok wilgotnych rowów. Dońcy spieszyli się, lancą, szabłą nieraz torowali sobie drogę. Careka armia cofała się na wschód. Był rok 1914. A wieczorem na zachodzie nie bładła czerwona luna. Słońce zaszło, pożarów nikt nie gasił.

Łacno zrozumiał autor „Krzyżaków” i „Bartka Zwycięzcę”, czym mu grozi spotkanie z królewską — pruskimi wojskami. Toteż pewnego październikowego przedranka założył Andrzej Katanowski konie do bryki, wsiadł pan Henryk z niewielkim pakuneczkiem tylko i ruszył w długą, trudną drogę ku Krakowowi, hen ku dalekiej Szwajcarii.

Bryka podskakiwała na wybojach, to znów tonęła w błocie. Sienkiewicz patrzył na mokre drzewa, opary wznoszące się z łąk, kawkę skaczącą w wilgotnych spleśniałych bruzdach.

A sceneria tego odjazdu żywo przypominała sienkiewiczowskie opowieści. Z oddali nadbiegał przytłumiony głos armat, z drogi do Mniowa kwik koni, turkot zaprzęgów, szum marszu zielonoszarej piechoty.

Na twarzy pisarza wyrzył się głęboki smutek, większy od smutku, w którym tonęła okolica.

„Przecież część jakowaś duszy w tych miejscach zostawiał, i pamięć słodką. Więc oczy zwracały się po raz ostatni na pałac, wieżę kościoła i dachy do-

organizacyjno-administracyjnych szkolnictwa wszystkich stopni, jak np. uposażenie nauczycieli, organizacja toku studiów itp. lecz także zagadnień ogólniejszych, jak np. stan badań naukowych w uniwersytetach, stosunek tych badań do spraw naukowych w przemyśle, tendencje rozwojowe szkolnictwa wyższego i ściśle od nich zależne losy ogólnej kultury narodu.

Te ogólne problemy dyskutowane są w społeczeństwach kapitalistycznych już od lat dwudziestych w czasopiśmie, książkach, zbiorach artykułów i konferencjach międzynarodowych. Na czoło dyskutowanych zagadnień wysuwało się zagadnienie roli i zadań uniwersytetów w zmieniających się społeczeństwach. Dyskusja trwa już około 30 lat, a tytuł książki Anglika Moberly „The Crisis in the University”, wydanej bezpośrednio po drugiej wojnie światowej, stał się chętnie na Zachodzie powtarzanym zwolaniem. Wszyscy zdają sobie sprawę z wielkiej roli jaką uniwersytety odegrały w dziejach kultury europejskiej, a widząc kryzys kultury społeczeństwa burżuazyjnego i szukając instytucji, która mogłaby je z tego kryzysu wyprowadzić, zwracają oczy także na uniwersytety. Stąd także dyskusja nad możliwościami uniwersytetów, koniecznością ich reformy itp.

Dyskusja nad uniwersytetami i nauką rzuca ciekawe światło na rozwój kultury w społeczeństwach kapitalistycznych i dlatego powrócimy do niej w obszerniejszym artykule.

215 tytułów...

Tylko jedno radzieckie Państwowe Wyd. Literat. Pięknej („Goslitizdat”) w pierwszej połowie tego roku wydało 215 książek o łącznym nakładzie 35 mln. egzemplarzy.

W drugim półroczu m.in. ukazały się trzy powieści Dostojewskiego, dwutomowy wybór poezji Aleksandra Błoka, dwutomowy wybór wierszy Sergiusza Jesienina.

Jeśli chodzi o przekłady, to wydawnictwo zapowiada: „Dekameron” Boccaccia, „Don Kichota” Cervantesa, powieść George Sand „Consuelo”, jednotomowy wybór utworów Emila Verhaerena (w związku z setną rocznicą urodzin).

W planie wydawniczym znajdują się pozycje z klasyki chińskiej, hinduskiej, japońskiej. M.in. ukazały się tom wierszy poetów chińskich z IX-tego wieku w przekładach Anny Achmatowej.

Państw. Wyd. Literat. Obecnie przygotowuje przekład powieści I. Neverly „Pamiętka z Celulozy”. To samo wydawnictwo wyda przekłady pisarzy: rumuńskiego M. Sadoveanu, amerykańskiego H. Fast, niemieckiego L. Feuchtwangera.

Odnaleziony scenariusz Majakowskiego

Miesięcznik radziecki „Iskustwo Kino” wydrukował po raz pierwszy wyjątek z nieznanego scenariusza Majakowskiego „Inżynier d'Arcy”. Tematem scenariusza napisanego w r. 1927 jest imperialistyczna walka konkurencji o irańską naftę. Scenariusz „Inżynier d'Arcy” zostanie pomieszczony w całości w jedenastym tomie przygotowywanych obecnie pism zbiorowych Włodzimierza Majakowskiego.

Sartre na scenie moskiewskiej

Moskiewski Teatr Satyry przygotowuje sztukę Jean Paul Sarte'a „Niekrasow”. Przekładem sztuki, która będzie grana pod tytułem „Znana prawda”, dokonał Iija Erenburg.

„Moralność pani Dulskiej” w radio wiedeńskim

24 lipca br. radio wiedeńskie nadało w całości komedię Gabrieli Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej”. W roli głównej wystąpiła znana aktorka austriacka Louise Kartouch. Muzykę opracował Johann Sienka. Audycja spotkała się z ogromnym zainteresowaniem radiosłuchaczy zarówno w samym Wiedniu jak i na prowincji.

mów. Wiedział, co tu zostawił, a nie wiedział, co go czekało w owej siniej dali...”

W niedalekich Chelmach zaczęły bić dzwony, przeraźliwie i smutno.

To „okolica wołała za odjeżdżającymi głosami dzwonów, jakby prosząc i zaklinając ze swej strony, by jej nie opuszczano, wołała, jakby tym żalosnym dźwiękiem dzwonów chciała się żegnać i utrwalić na zawsze w pamięci...”

Pisarz milczał, tylko jedno zdanie wyrwało mu się, raczej z serca niż z ust:

„Zali wrócę tu jeszcze kiedy?”

Nie wrócił nigdy.

Jarząbek kończy wspomnienia. I mówi:

— Posłuchajcie teraz, proszę, wnuczka czyta trochę nam co wieczora. Może ocy niedowidza...”

I Stasia Zapala otworzyła tom, usiadła przy lampie. Kobiety przybliżyły się ze swoimi robotkami, mężczyźni zapalili papierosy. Stuchali wszyscy sienkiewiczowskich słów, odczytywanych niewyrobionym głosem uczennicy czwartej klasy...

MŁODA PLASTYKA

(Dokończenie ze str. 6)

pracy” i „Nasza ziemia”, płótnem działającym tak sugestynie.

Osobny rozdział w twórczości Strumili stanowią pejzaże. Warto pomyśleć o zebraniu ich na oddzielnej wystawie, gdyż zwykle ukazują się pojedynczo, a w ogólnych dyskusjach zawsze giną. Tymczasem wartość, jaką posiadają, jest nie mniejsza od wartości jego kompozycji.

W życie polskiego malarstwa wkracza nowe pokolenie twórców, wnoszące problemy i wartości, o których mówić będziemy jeszcze nieraz.

ALEKSANDER WALLIS

O tani film

Ciągle za mało mówi się o filmie kameralnym. Ilu krytyków, tyle cenzurk wystawiono ostatnio naszym kinematografii. Przystrofiono filmowców w niejednym liście wawrzynów, ale przy okazji zerwano niejedną listkę figury, kryjący dość wstydliwie słabości młodej sztuki. Niektórzy krytycy odważyli pochwały na kilogramy, inni wyłącznie się o d w a ż y ł i. Ale w powodzi żądań i propozycji prawie ani jedno słowo nie padło o filmie t a n i m. Darujcie ekonomiczny termin, ale film opiera się na ekonomicie. Prozaiczne kwestie finansowe mogą czasem wpłynąć na rolę ideową i artystyczną tw. dzieła filmowego. O tej zależności skłonni jesteśmy zapominać.

Najdrożej w produkcji filmowej kosztuje czas. Nie warto udawać się w szczegóły, więc podkreślę tylko, że przez film tani rozumie się y b k o zrobiony. Szybko! W tym rzecz!

Do znudzenia powtarzamy, że w walce o wychowanie ideowe i moralne nasz film wlecieł się w ogonie innych sztuk. Niemal każdy temat współczesny (o nim cały czas będę mówił) spóźnia się o wiele miesięcy w stosunku do najsilniejszej potrzeby społecznej. Oglądamy na ekranie prawdy dawno przeżute, przetrawione — w reportażu, noweli, nawet dramacie.

Taki los spotkał m.in. „Autobus odchodzi o 8.00”. Nakręcony bardzo szybko, przeleżał niemal rok na półeczce, zanim trafił do kin. A życie nie czekało na „Autobus”, szło samo naprzód. Gdy film wszedł na ekrany, jego teza agitacyjna — że kobieta może dorównać mężczyźnie na wielu odcinkach pracy zawodowej — uderzyła w próżnię. Kto miał w ogóle znać tę prawdę, uznał ją za miz-dzycasie.

Oczywiście problem dyskryminacji kobiet nie przestał istnieć. Tylko znajdźmy go teraz w innym wymiarze obyczajowości. Czytajcie reportaże z hoteli robotniczych, a nawet wyższych uczelni — o efemerycznych małżeństwach, o porzuconych młodych kobietach w ciąży. To także objaw lekceważenia „plci słabej”.

Naturalnie, nie zamierzam typować gotowych tematów — uatpię nawet w filmową przydatność tych przykładów. Ale niechaj ich r o d z a j argumentuje, że nasz film zadowolę się konfliktami przeżyłymi. Nie przeżyłymi...

Ktoś może utrać słówko: przetrawione, lecz bardziej typowe. Proszę, macie typowy problem — brak pieniędzy. Jasne, że ta popularna bolączka nie określa zbyt niskiego poziomu stopy życiowej. Brak pieniędzy wynika z olbrzymiego rozwoju skali potrzeb, materialnych i kulturalnych. Do samochodu utracie! I cóż z tego? Ano, jedynym brakiem pieniędzy każe stwarzać manka w powierzonych im sklepach, wielu innym — iść na kursy zawodowe, uczestniczyć w studiach korespondencyjnych. Choć tworzymy nowe wartości, budujemy nowy ustrój, pieniądź zostaje nadal cichym bohaterem wielu konfliktów i dramatów. Tego jeszcze nasza sztuka nie odkryła. Proszę, macie typowy problem. Po co o tym wszystkim pisać? Istnieje olbrzymi obszar zagadnień, wymagających zainteresowania ludzi sztuki. Nie jedną z „białych plam” owego obszaru powinien wypełnić — właśnie film! Faworyzując kinematografię bynajmniej nie dla polechtania ambicji filmowców. Po prostu — film dociera do środowisk, zamkniętych dla każdego innego rodzaju agitacji.

Podążając tematy współczesne, ingerując w życie — film musi być koniecznością p e r a t y w n y. To nieprawda, że kino jest ospałym narzędziem, że nie daje rady nadążać za życiem, albo je wyprzedzać. Przypomnijmy sobie „Wielkiego obywatela”, film radziecki, który wyprzedził prawie wszystkich, co zostało napisane o Kirowie i słynnych procesach. Podobną sytuację mamy w powojennym filmie włoskim, który natychmiast reaguje na alarm społeczny: „Tragiczny pościg”, „Rzym — godz. 11” i inne.

Nie wiem, ile przeciętnie kosztuje film, ale na pewno za dużo. Obawiam się, że współzawodnictwo artystyczne zamienia się u nas w wyścig kosztów. Chwilami dobrze rozumiem ostrożność komisji scenariuszowej, chodzi o miliony.

A przecież „fotogenizm” nie jest jednoznaczny z wartością artystyczną filmu. Znamy masę dobrych i znakomych filmów, które obywateli się bez wystawności. Najlepszy film radziecki minionego roku, „Dygnitarz na trawie”, kameralny, prościutki — był na pewno tani. Oglądany właśnie w kinach „Maty uciekinier” kosztował chyba nie wiele więcej, niż taśma, na której go nakręceno. Przypomnijmy wreszcie filmy radzieckie z lat 30-tych: „Bezdomnych”, „Ziemia woła”, „Trylogia o Maksymie”, nawet „Czapajewa” i „Maszeńka”. Oto przykłady pięknych utworów, powstałych bez troski o zewnętrzne atrakcje.

Film tani, kameralny, czy jak go nazwiemy — spełnia pod każdym względem hasło „bliżej życia”. Ekonomia kosztów definiuje także kształt ideowo-artystyczny: ekwiwalentem wystawności musi być siła konfliktów dramatycznych, dociekliwość w badaniu społeczeństwa, znajomość charakterów ludzkich. „Film tani, film społeczny, stanowi dziś najgłębszą potrzebę moralną tych wszystkich, którzy uczciwie pracują dla ekranu...”. Te słowa napisał wielki scenarzysta włoski, Cesare Zavattini, w liście do uczestników seminarium filmowego na warszawskim Festiwalu. Myślę, że niektórzy z Zawattiniego warto odnieść do spraw naszej kinematografii. Pomyślmy jeszcze o jednym: robiąc więcej filmów tanich, możemy kręcić w ogóle więcej filmów...



TADEUSZ GIGGIER

O PEWNEJ EKIPIE ŁACZNOŚCI

Rozśpiewana, hej, gromada chłopom w żniwach pomóc jadą. Wioski, pola — pola, wioski, przejechali tak ćwierć Polski. Wyśiadają: „Jak się darzy? Witajcież nam, gospodarze!” Chłopi stoją z twarzą jasną, lecz miastowim w gardle zaschło... Mówią chłopci: „Dzionek krótki, musi przyjaźni być bez wódki...” „Co?! Bez wódki?! Nie da rady! Proście śmiało do obiadu: u nas, wiece, głowa chytra — każdy w teczce ma pół litra...” Dzwonią łyżki i kieliszki, huczą śmiechy, piszcza śmiszki. Gdy najedli się, wypili, razem w pole wyruszyli. Chłopi koszą długim rzędem — miastowi stawiają mendele. Ustawili cztery słomki — poszli hurmem na poziomki. Pod wieczór, że pora chłodu, pościągali do ogródka. Nuże tu dziewczęta gonić wokół gruszek i jabłoni. Skaczą przez porzeczek krzaki wprost w marchewkę i buraki. Rzekłbyś: w ogród upadły dziki! Polamali słoneczniki, nie ostała się kapusta. (każdy przy tym rzał jak mustang), stratowali dynie, banie odjechali ze śpiewaniem. Księżyc nurza się w mgławicy, gospodyni nocą liczy. Wpisuje na jeden arkusz zysk z pomocy — stratę z żartów. Pisz — i wdycha nieboga: „Pomoc piękna, ale droga!”

JOANNA KULMOWA

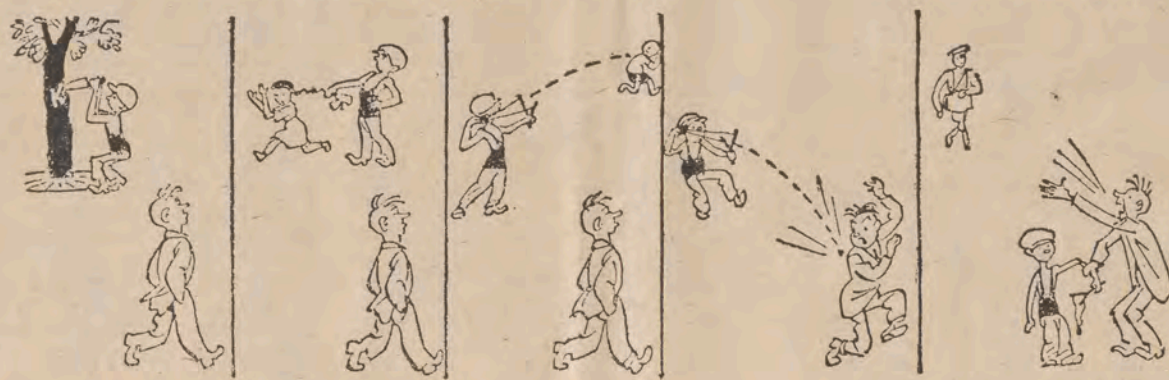
PAN I PIES

Razem co wieczór — pan i pies. Pan, bo pies chciał — a pies, bo musiał. Pan się uwnioślił aż do tej, a pies pod każdym drzewkiem siusiał.

Piesek oblewał wszelki płot, a pan opiewał mleczną drogę. Im wyższy pan obierał lot, tym wyższy pies podnosił nogę.

Wracali do domu za panem brat, szczęśliwi, choć niesyćci jeszcze. Pies się na swej rogócce kładł, a pan do rana pisał wiersze.

Tak nader ściśle nie od dziś wiąże się życie i liryka: pan by bez psa nie musiał wyjść, pies się bez pana nie wysika.



Bez słów

(„Komsomolskaja Prawda”, Moskwa)

ZYG MUNT FIJAS

Sprostowała

Myślałem że redaktor Ciombor bezpowrotnie odpłynął z dziennikarstwa, lecz on znowu wypłynął, tym razem w stolicy, zakotwiczył się na stanowisku redaktora działu rozrywkowego dziennika NN.

I znowu, złożywszy materiał, musiałem patrzeć w jego maślane oczy i słuchać jego słów, jakże podobnych do tych, co przed rokiem wywoływały we mnie tyle przykrych uczuć.

„I co mi pan tutaj przyniósł? co to ma być?... Przyniósł pan utwór, w którym piszesz: „Biuro, o którym będzie mowa, a którego nazwy i siedziby nie ujawnię, aby się nie narażał na niepotrzebne komentarze i zapytania...”. Po drugie, powiedzcież to wyraźnie!... Gdzie to osobiście było? W którym mieście?... Przy jakiej ulicy?... W Kalkucie przy ulicy Mahatmy Gandhiego... w Bydgoszczy, czy... Poznaniu?”

Po trzecie: dlaczego kawki mają sobie urządzać legawiska nie na konarach drzew, otaczających na przykład Dworzec, gdzie mogłyby mieć przytulne i przewiewne punkty obserwacyjne... dlaczego, powtarzam, nie na konarach drzew, wyszczelanych zeschłym listwem, suszoną trawą i kłódkami waty, lecz, jak piszecie, w kominach, gdzie jest im twardo, niewygodnie i ciemno?... Nie, nie, nie!... ja nie słyszałem i nie czytałem, by kawki gnieździły się w kominach!”

— Na to, że kawki gnieźdzą się w kominach, mogę przynieść zaświadczenie... Upzejmie jednak wyjaśniam... Nie pozwolił mi dokończyć zdania. — Być może — rzekł — iż niektóre gatunki tych ptaków spędzają część swego życia w kominach, być może również — ten nietypowy casus jest dla was wygodną odeskacją do poczynienia taniego antyrealistycznego wypadu pod ad-

RYSZARD BRUDZYŃSKI
KOMIWOJAŻER

Okropnie go męczą podróże, Lecz mówi, że każą „na górze” i w ramach tak zwanej wymiany jest ciągle podróżą karany.

Na wielkie zawody w Brukseli do składu ekipy go wzięli: ekipa trenera zabiera, pojechał więc w roli trenera.

W Wenecji, jak fama nam niesie, brał udział w filmowym kongresie. A był tam — co faktu nie zmieni — bo paszport posiadał w kieszeni.

Powiedział: „Przyjemność to średnia” i prędko pojechał do Wiednia.

W Wietnamie był też przymusowo. Pojechał tam z misją. Służbowo.

A potem znow w ramach wymiany pojawił się w murach Tirany.

W niedzielę opuścił Warszawę, wyjechał na praską wystawę. Spytałem zdziwiony: „Dlaczego?” „Nie było po prostu innego”.

Za tydzień wyjeżdża do Tita. Nie pytam, bo błądzi, kto pyta.



WITOLD DEGLER

ZNAWCA SPRAW WIEJSKICH

W teren jeździć wciąż po fakty? To dla niego jest zbyt trudne... Bo on ze sobą ma kontakty co dzień poprzecz... bary mleczne!

POLIGLOTA

Szereg języków opanował płynnie ten człowiek uczony — a opanować nie może jedynie język swego żony...

IGNACY TAUB

MODLITWA REALISTY

Daj nam chleba powszedniego, Panie! Zanim piekarnik wstanie!

POZYTYWNY

Jest pro, jest za, jest za tym, lecz nie poza tym!

KAREL CAPEK

PSY I KOTY

Poczyliśmy wiele troskliwych obserwacji i mogę z autorytatywną pewnością powiedzieć, że pies, gdy jest sam, nigdy się nie bawi. Pozostawiony samemu sobie staje się pies, jeśli tak rzecz można, wściekle poważny. Jeżeli nie ma się czym zająć, ogląda się, śpi, chwytta muchy, gryzie cokolwiek bądź — mogą to być stare szczotki lub twoje ranne pantofle — ale się nie zabawia. Gdy jest sam, nie próbuje chwyttać swego ogona, nie krąży dookoła, laski w zębach nie nosi, ani też nie pcha przed siebie kamienia; bo do tego wszystkiego potrzebuje on partnera, kogoś, kto współdziała, kogoś, przed kim popisuje się swymi psimi skokami. Jego zabawa jest wyrazem towarzyskiej radości; jak za swoim ogonem kręci się tylko wtedy gdy spotka podobnie nastrojoną duszę — obojętne czy to jest pies czy człowiek — tak i zabawę rozpoczyna jedynie wtedy, gdy ktoś z nim gra lub mu się przypatruje.

Są ogromnie wrażliwe psy, które — skoro ich się nie obserwuje — natychmiast zaprzestają swojej zabawy. Wydaje się jak gdyby przyjemność w zabawie odnajdywały tak długo, jak długo nie szczędzi im się okłasków. Krótko: pies potrzebuje podniecającego kontaktu z czymś żywym; jest to cechą jego towarzyskiej natury.

W przeciwieństwie do psa — kot potrafi zabawić się w następstwie jakiejś podnieci, ale bawi się również gdy jest sam. Bawi się z własnej woli w sobie tylko właściwy, indywidualny sposób. Zamknijcie go samego z kłębkiem wełny, frędzelką lub wiszącym sznurem, już to wystarczy, by rozpoczął po wabną, cichą zabawę. Bawiący się kot nie zdaje się mówić: „Człowieku, jak ja się cieszę, że tu jesteś!” Kot raduje się dla samego siebie. Pies chce zabawić innych. Kot zainteresowany jest jedynie sobą, podczas gdy pies oczekuje zawsze czyjś zainteresowania. Ja-

ko członek gromady — juści, już we dwóch tworzą gromadę — żyje szczęśliwym życiem psa. Gdy ugania się za swoim ogonem, baczny uważnie co też przyglądający się temu powie. Kot nigdy tego nie uczyni: jemu wystarcza całkowicie zabawianie samego siebie. Może to właśnie jest prawdziwym powodem, dla którego kot nie odda się zabawie tak bezwzględnie i namiętnie, aż do zapamiętania i braku tchu, jak to czyni pies. Kot zawsze jest jakby nieco ponad tym; wygląda zawsze tak, jak gdyby sam się zabawiał laskawie i z nieco podejrzaną grzecznością. Pies oddaje się zabawie całkowicie, dla kota gra zdaje się wyrażać jedynie jego nastroj.

Można by to może tak wyrazić: koty wywodzą się z ducha ironistów, którzy sami w sobie znajdują zadowolenie; one bawią się pogardliwie z ludźmi i rzeczami, bacznie jedynie na własną prywatną przyjemność. Psy wywodzą się z gatunku humorystów; one nastawione są serdecznie i nieco pospolicie jak człowiek obnoszący anegdota, który bez swej publiczki umarłby z nudów. Pies angażuje się uczuciowo w każdym żarcie; w zbiorowej zabawie poka on po prostu z zadowol. Kotu wystarcza osobista wiedza, pies natomiast pragnie sukcesu.

Kot jest subiektywista; pies żyje w społecznym a więc w obiektywnym świecie. Kot jest mistyczny jak zwierzę, pies prymitywny jak istota ludzka. Kot ma coś z estety. Pies to jak człowiek zwykły, albo także jak człowiek twórca. Coś w nim kieruje się ku innym, ku wszystkim innym. On żyje nie tylko dla siebie, podobnie jak aktor nie mógłby żyć tylko dla siebie, podobnie jak poeta nie mógłby pisać dla siebie jedynie, podobnie wreszcie jak malarz, który nie po to maluje, by ustawiać obrazy pod ścianą.

Z czeskiego przełożył J. K.

Piórka
z ogona

„ŚWIAT” NA TARGACH POZNAŃSKICH

W 27-mym numerze „Świata” znajdujemy poniższe zdjęcie, zaopatrzone w podpis: „Uwagę zwraca wielka strugarka długości 12 m, mająca zastosowanie w przemyśle okrętowym...”



Ciekawi jesteśmy, w jaki sposób zdołano ją pomieścić w tym niedużym samolocie?

KRYTYKOM DO SZTAMBUCHA

W numerze 9-ym „Tygodnika Ilustrowanego” z roku... 1908 znajdujemy omówienie „Piosenek i fraszek Zielonego Balonika” czyli późniejszych „Słówek” Boya.

Czytamy: „... pójda w niepamięć piosenki „Zielonego Balonika”, bo nie masz w nich nic, co by dało im byt dłuższy nad żywot motyli, a sam „Zielony Balonik”, jak wszystkie baloniki... skurczy się, pomarszczy i upadnie w śmiecie...”

Autorem tego pochopnego wyroku był po swojemu rzetelny i dysponujący dużą erudycją prof. Henryk Galle.

Profesor-krytyk, niestety, „skurczył się, pomarszczył”, a „Słówka” po dziś dzień cieszą się niebywałą popularnością.

Nasi współcześni — łatwo ferujący swoje bezlitosne wyroki krytycy i recenzenci — niech mają powód, żeby jeszcze raz zamysleć się!

JAK NIE POTRAFISZ, NIE PCHAJ SIĘ
NA AFISZ

Wojewódzka Rada Związków Zawodowych i Wojewódzki Zarząd Związku Młodzieży Polskiej wydały za okazji konkursu czytelniczego poświęconego współczesnej literaturze pięknej i utworom Adama Mickiewicza afisz propagandowy, w którym m.in. czytamy:

„Konkurs um o z i o i i szerokim rzeszom uczestników w zapoznaniu się z dorobkiem literatury polskiej ostatniego dekadzie, z osiągnięciami kultury radzieckiej... z dziełami...”

„Wszystko co we mnie najlepsze zawdzięczałam książkom”, te słowa Gorkiego przytoczył autorzy afisza na wstępie; wydaje mi się, że w swym doborze lektury przeoczyli jedną pozycję: gramatykę Szobera.

ZYG MUNT FIJAS

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAJE ZWIĄZEK LITERATÓW
POLSKICH
Oddział w Łodzi
NAKŁADEM RSW „PRASA”

Adres Redakcji:
Łódź, Piotrkowska 96, I p. Tel.: 244-79
Rękopisów nie zamawionych
nie zwraca się

Prenumeratę miesięczną wynoszącą
zł 2,40 przyjmują Urzędy Pocztowe
i listonosze.

Zakł. Graficzne RSW „Prasa” — Łódź,
Zwirl 17. Zam. 2530. Pap. druk. sat.
60 g, V kl. VIII. 55. D-6-16602